№ 45. Warszawa, dnia 28 Października (9 Listopada) 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ŚWISTEK Z ŻYCIA.

Niemało odtąd ubiegło wody,
Pomnę jak wczora, było to wiosną:
Ziemia weselne wyprawia gody,
Ptactwo świergocze piosnkę radosną.
Po nad kwietnikiem pobrzmiewa pszczoła,
Życia i gwaru pełno do koła.

Pomnę wśród wioski dwór nasz drewniany,
Z wysokim dachem, nizkiemi ściany.
Ogród go wieńczy po jednej stronie,
Wśród śliw i gruszy rosną jabłonie.
Swawolny wietrzyk listki potrąca:
Agrest na grzędzie, ostro się jeży,
W zieleni błyska róży kwiat świeży,
Przy ziemi płonie miłość gorąca.

A od południa dziedziniec wielki,
Ogrodzon płotem z mocnemi wroty,
Pole gdzie nigdy nie brak roboty.
Cieśla tu smolne obrabia belki,
Parobki kloce przywożą z boru,
Słychać zgrzyt piły i huk toporu,
Stróż drwa na opał rąbie z łoskotem;
Trudno się nieraz przedrzeć w tym ścisku,
Żóraw nad studnią sterczy pod płotem,
Dwa stare kundle śpią na wiórzysku.

We dworze za to cisza głęboka.
Pobożna matka we wdowiej szacie,
Na pół umarła po drogiej stracie,
Mnie tylko strzeże jak w głowie oka;
Jam dla niej była wszystkiem na ziemi.
Rosłam oblana łzy jej cichemi.

Smutne me były dziecięce lata.
Straciłam wcześnie siostrę i brata,
Gdy jedynaczką zwano mnie dumnie,
Łzami wzbierało serce sierotki,
Ah! bo to znaczy, że w zimnej trumnie
Bóg zamknął życia mego czar słodki,
Że mi Edenu zwarł jasne bramy,
Przez odmęt życia kazał brnąć samej.

Lecz i ja w mojej sierocej doli,
Miałam niejedną chwilę szczęśliwą:
Nieraz bywało, matka pozwoli
Z dziewczęty miękie snuć mi przędziwo,
Byłoż to śmiechu, było zabawy,
Gdy wciąż rwie nitkę rączka bez wprawy!
Ogień wybucha słupem z komina,
W szyby izdebki trąca jaskrawo.
Zawiodły prządki piosenkę łzawą:
„Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna!"
W duszę za zwrotką wpływa mi zwrotka,
Że nie śmiem nogą tknąć kołowrotka!
Smętnemi dźwięki tak poję ucho,
I słucham jeszcze choć w izbie głucho.
Myśli jak pszczółki w główce się roją:
Czemuż to czemu lilijka biała,
Żałośnie rączki swe załamała?
Czemuż gdy mówi: „nie będę twoją!"
Tak się przemienił dla niej świat wszystek?
Ja nie rozumiem, lecz drżę jak listek;
I dziś gdy pamięć tych stron dotrąca,
Słucham ich w duszy łzawa i drżąca.

We dworku naszym czysto i składnie,
Ale ztąd wszelki zbytek wygnany.
W sercu mej matki żałoba na dnie,
Tylko modlitwą łagodzi rany.
Przy gospodarce wciąż się obraca,
Na jedne barki ciężka to praca!
Pilnie w swym domu porządku strzeże,

W bluszcze i kwiaty salę przybierze,
Lecz ją blask złota wcale nie wabi,
Na prostych sprzętach nie ma jedwabi,
Krzesła pokryte włosianą tkanką,
Okna bieluchną strojne firanką.
Na gładkiej, z desek białych podłodze
O wosk się słabej nie śliznąć nodze,
Kukułka wiernie godziny kuka,
Wszystko odwieczną tchnie tu prostotą,
Całkiem nieznana moda ni sztuka!

Ah! przepomniałam... jeden sprzęt oto
Co go nie znali ojcowie starzy,
Coś o postępie prawnukom gwarzy.
Długi klawikord stoi przy ścianie,
Pomnę go, czarny jak krucze pióro,
On to przymglone dni mych zaranie,
Ciemniejszą jeszcze przyoblekł chmurą.
Grałam, bo wszystkim dziś grać wypada,
Grałam, bo grały córki sąsiada.
Straconych godzin pożal się Boże,
Talentu z duszy pług nie wyorze.
Przy klawikordzie czas jednak trawię,
By drogiej matki rozjaśnić czoło,
Co mnie wyuczył mistrz mój w Warszawie,
Jedno po drugiem powtarzam w koło.
Głuszę bezmyślnie słowicze chóry,
Gram polonezy, gram uwertury,
Smętne nokturny, wesołe scherca,
Aż przyszła kolej na koncert Herca.
Tu już me wątłe nie starczą siły,
Tony się jakoś wszystkie zmąciły,
Tkanka się dziwnie wikła i gmatwa,
Grać bez talentu rzecz to nie łatwa!

A po za dworem w kasztanów cieniu,
Żyd stary krawiec szył cóś w milczeniu,
Suchy, wywiędły, jak gołąb siwy,
Siódmy mu krzyżyk barki przygniata,

Lecz kryje w duszy klejnot prawdziwy;
On jak ptaszyna buja skrzydlata,
Z niemą piosenką w jasnym błękicie:
Wśród czaru dźwięków prześnił on życie,
Z padołu ziemi w natchnieniu szczerem
Ulata wiecznie w dal niedościgłą,
Gdyby go nędza nie skuła z igłą,
Byłby Halewym lub Majerberem.

Gdy ja się biedzę przy trudnym Hercu,
Memu Ickowi nie wytrwać dłużej,
Tajemna żyłka drgnęła mu w sercu,
Płonie mu czoło, krew się w nim burzy,
Porzuca igłę, żartko poskoczy,
Rozwarł drzwi sali, błysnął mi w oczy
Brodą bieluchną jak puch gołębi:
„Panienko! woła — głębiej oh głębiej!“

I odbiegł starzec nim rzekłam słowo.
Jam go odgadła i gram na nowo,
Odrzucam Herca, Rossini lepiej,
Może się duszy mojej uczepi.
Gram cyrulika ... nic nie pomoże,
Klawisze rąbią ostre jak noże,
Z pod rąk mi płyną tonów kaskady,
Ale ich podźwięk mętny i blady,
Cząsteczki duszy w nich nie pomieszczę.
Bo święty płomień piersi mi pali,
I znów otwarte widzę drzwi sali:
„Panienko głębiej oh głębiej jeszcze!“

Poczciwy Icku! zbiegło lat tyle,
Proch twój oddawna zbutwiał w mogile;
Od dawna pożar schłonął te ściany,
Gdzie mi dziecięce ubiegły latka,
Zdala ode mnie grób ukochany,
W którym po trudach spoczęła matka!
Czemuż mi wiecznie brzmią twoje słowa,
„Panienko głębiej, oh jeszcze głębiej!“

Kiedy nade mną cisza grobowa
Źródła ożywcze w duszy mej ziębi,
Kiedy ślimakiem słowa się wloką,
W skutek nałogu piórem kreślone,
A myśl zbolała nie śmie głęboko
Spojrzeć w otchłanie te niezmierzone
Zkąd zdroje natchnień tryskają wieszcze,
I poję serce Boską otuchą,
Głos tajemniczy, szepcze mi w ucho:
„Sięgnijże głębiej! oh głębiej jeszcze!

S. D.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

W przedpokoju dało się słyszeć wejście kilku osób. Zosia nie wiedziała co zrobić, czy zostać czy wyjść za Józią. Kiedy tak waha się i nadsłuchuje, drzwi otworzyły się i pokazał się w nich Stanisław z Janem. Zosia zrobiła kilka kroków ku drzwiom, ale Stanisław zastąpił jej niby niechcący drogę i zawołał z wielkiem zdziwieniem:

— Jakże mnie cieszy tak niespodziewane spotkanie z panną Zofią. Pragnąłem tego dawno żeby przedstawić mego przyjaciela, Jana, o co prosił mnie usilnie poznawszy panią przypadkowo na ulicy i w sklepie szanownego wuja? Jakże się miewa zacny starowina? pytał dalej Stanisław ujmując pomieszaną Zosię za rękę i zmuszając ją niejako do zabrania miejsca na krzesełku, przy którem sam zasiadł na drugiem a trzecie po drugiej stronie Zosi wskazał Janowi. Przez czas tej czynności ciągle był zajęty mówieniem:

— Niechże nam dobra panna Zofia, nie żałuje chwileczki czasu w swojem tak miłem i pożądanem towarzystwie. Wszakże jesteśmy znajomi, panny Mikłockie dość się pani nie mogły nachwalić, a sama mama Mikłocka przy każdej wzmiance o pani zawsze występowała z panem Hessem, Wujem i księdzem kanonikiem, dowodzącym że i ona kiedyś była bardzo powabną. Wyborna to sobie starowinka ze swemi wspomnieniami młodości, i nieraz tak krotochwilna, że trzeba było pękać ze śmiechu. Dawno pani widziała panny Mikłockie?

— Już zaprzestałam pracować u nich, odrzekła Zosia podnosząc się, ale czekam na gospodynią domu, panowie więc przebaczą...

— Pani Frubankowa wkrótce przyjdzie, odrzekł Stanisław ujmując znowu Zosię za rękę, i spodziewam się że pani będzie tak względną iż nas nie pozbawi swego towarzystwa. Byłaby to kara niczem nie zasłużona. Mój krewniak Jan mieszkał dotąd na wsi, w Warszawie przebywa tylko czasami i mówiąc nawiasem, szuka kochającego serca, któremu chciałby zaprzysiądz małżeńską wiarę. Niezmiernie poetycznego usposobienia, wytwornego gustu, dla panienki coby go obdarzyła wzajemnością, nie ma ofiary którejby nie poniósł. A ma po temu środki: jest właścicielem własnej wioski i adoptowanym synem bogatego stryja, czeka go więc kiedyś okrągły milionik. Szczęśliwy wybraniec losu, jakże mu zazdroszczę... I przy tych słowach nachylając się do ucha Zosi, dodał ciszej spoglądając na Jana:

— Na moim krewniaku zrobiłaś pani niezmierne wrażenie, zakochał się w pani po uszy, i gdybyś tylko raczyła obdarzyć go życzliwem spojrzeniem, weselisko pewno...

— Ależ panie, zawołała Zosia, powstając z oburzeniem, Stanisław ją znowu zatrzymał dodając:

— Jak Boga kocham tak mówię prawdę, niech się pani tylko zastanowi. Janie odezwijże się przecie, czyż niemy jesteś, ja tylko sam gadam i za ciebie i za siebie.

— Jan rzeczywiście od chwili wejścia i ujrzenia Zosi nie przemówił słowa; patrzył w nią jakby nie dowierzał własnym oczom, spuszczał je, czerwienił się i obracał kapeluszem.

Gdy Stanisław zawezwał go do mówienia, zwrócił się do Zosi i jąkając się rzekł:

— Stanisław wyręczył [mnie... to jest... dopomógł... ale... w okolicznościach...

— Ależ postępowanie panów, zawołała Zosia znowu powstając nadaremnie zawsze będąc przez Stanisława przytrzymaną, tak jest dla mnie niepojętem...

— Tylko się dobra panno Zofio nie unoś, przerwał Stanisław i ciszej dodał: mój krewniak za ofiarę serca gotów zrobić zapis całego folwarku...

— Ah! Boże mój Boże! zawołała głośno Zosia z rozpaczliwem wysileniem.

— Ale jak Boga kocham tak prawdę mówię, równie głośno odezwał się Stanisław, niech pani będzie pewną że jestem...

— Bezczelnym kłamcą! ozwał się w tej chwili głos Józi stojącej w progu drzwi.

Stanisław zerwał się troszkę pomieszany, powstał i Jan, z czego korzystając Zosia wybiegła do przedpokoju pospiesznie zarzucając na siebie okrywkę.

— A panna zkąd się tu wzięłaś? zapytał Stanisław.

— Dziwisz się? Ale się pan nie zadziwisz zapewne temu com ci powiedziała, odparła Józia. Precz z moich oczu! Patrząc na ciebie dłużej mogłabym wpaść w szaleństwo i tym oto nożem... zapłacić za zatrucie mnie myślami tak strasznemi, że nieraz na prawdę zdaje mi się że oszaleję. Uciekaj przeklęty!

Józia stała na środku pokoju z nożem kuchennym wzniesionym jakby do uderzenia. Oczy jej pałały, twarz rumieniła się, usta i policzki drgały. Stanisław przyjrzał się, poruszył ramionami i skinąwszy na Jana rzekł:

— Chodźmy Jasiu, zdaje mi się że przez omyłkę trafiliśmy na dom waryatów.

Jan odurzony podszedł ku drzwiom, Stanisław pociągnął za nim, Józia stała ciągle w groźnej postawie, ręka z nożem drżała, pierś silnie wznosiła się, i kiedy Stanisław przestępował próg i szukał za sobą klamki aby drzwi zamknąć, z okrzykiem dzikim, strasznym, jak pantera rzucająca się na zdobycz, poskoczyła za Stanisławem, zamierzyła się szybko i kiedy miała cios zadać, do przedpokoju wszedł Władysław ze znanym nam już starym orylem Wojciechem.

— Ojciec! mój ojciec, krzyknęła Józia i rzucając nóż padła do nóg tuląc twarz i usta do stóp jego.

Wojciech stojąc przerzucał oczami to po córce tarzającej się przy jego nogach, to po Stanisławie mającym zagrodzone wyjście. Milczał ale w spojrzeniu jego wrzał taki gniew i oburzenie, że Stanisław przestraszył się obawą sceny zbyt gwałtownej. Ojcostwo Wojciecha dla Józi, było dlań najzupełniejszą niespodzianką. Cichaczem więc zaczął się przeciskać około ściany witając uśmiechem Władysława. Młodzieniec odpowiedział na to ponurem spojrzeniem i kiedy wreszcie Stanisław doszedł do niego i chciał go przywitać ściśnięciem ręki, nie podał mu swojej mówiąc:

— Pana Zofia to moja narzeczona spotkałem ją i wiem wszystko...

— A tak, wyszła przed chwilą, ale anim przypuszczał, odrzekł Stanisław z uśmiechem, nadrabiając miną, abym ją tutaj mógł zastać... Władysław gwałtownie się poruszył, zwrócił nagle do Stanisława... widocznie walczył z sobą... Stanisław przemknął się szybko i wraz z Janem opuścił mieszkanie.

Józia podniósłszy się od nóg ojca, przytulona do piersi jego z głośnem łkaniem ciągle płakała.

— Jakżem szczęśliwa że cię ojcze znowu widzę, mówiła. Zdaje mi się, że niebo wstąpiło do mej duszy. Tak pragnęłam tego... myślałam żeś o mnie zupełnie zapomniał...

— A tyś pamiętała? zapytał starzec ciężko wzdychając.

— Ojcze! zabij mnie ale przebacz! zawołała Józia obejmując nogi starca.

Wojciech spojrzał na córkę łzy zaświeciły mu w oczach i podnosząc rękę zawołał z przejęciem:

— Chodźmy! Jutro rano wyjedziemy! Chodźmy!

— Jutro, zaraz? zapytała Józia trwożnie.

— Czy ci żal?

— Nie, ojcze, ale...

— Zostań więc, przerwał Wojciech, ale pamiętaj żeś nie mojem dzieckiem...

— Oh! ojcze nie mów tak! krzyknęła Józia ujmując rękę starca. Zrobię wszystko co każesz, tylko się tak gniewnie do mnie nie odzywaj.

— Chodźmy zatem.

Figielek ułożony przez Stanisława kark skręcił zaraz na pierwszym podskoku.

Przybycie Władysława z Wojciechem było przypadkowem. Załatwiwszy interes, za którym wyjechał, prędzej jak myślał powrócił do Warszawy. Zosi nie zastał w domu, a Prosper oświadczył mu, że wyszła z jedną panią dla przyjęcia roboty i że pewno nieprędko powróci. Kiedy pożegnał się ze starcem i na Krakowskiem Przedmieściu przystanął oglądając się czy gdzie Zosi nie wypatrzy, przysunął się do niego Wojciech i trzymając adres w ręku prosił o objaśnienie w którą ma się udać stronę. Władysław nie szczędził odpowiednich wskazówek, ale że szukane miejsce było dość oddalone a Wojciech mało z Warszawą obeznany, kręcił głową, poruszał ramionami, młodzieniec więc pomału doszedł z nim aż do samego miejsca i dowiedział się, że pod adresem wskazanym mieszka jego córka, że już prawie dwa lata nie ma od niej żadnej wiadomości i że od nadwiślaka Franka Skowrońskiego dowiedział się o niedoszłem jej małżeństwie z pewnem urwipołciem warszawskim Stanisławem Orzelskim, którego poznał przypadkiem na galarze gdy był w roku zeszłym w Warszawie. Prosił przytem, aby go Władysław już nie odstępował.

— Bo to w Warszawie, rzekł, naród strasznie przewrotny, nietylko z kozła ale z psa umie zrobić barana. Niech więc panisko kochane nie odmówi swej pomocy prostakowi, co się błąka pomiędzy obcymi jak w lesie...

Władysław przyrzekł i kiedy wszedł do sieni szukanej kamienicy, ujrzał zbiegającą Zosię ze schodów. Zdziwiło go to, ale jakże się przestraszył zobaczywszy ją niezmiernie pomieszaną i opowiadającą po krótce szczegóły całego zdarzenia.

— Muszę choć chwilkę wypocząć, odezwała się Zosia, bo cała drżę...

Władysław wprowadził ją do poblizkiego sklepiku, oddał pod opiekę właścicielki a sam przeszedł z Wojciechem do mieszkania Frubankowej.

Stanisław idąc ulicą, zżymał się i złościł: obok niego wlókł się Jan jak spętany.

— Tej szkaradnej babie Frubankowej kark skręcę za pierwszem spotkaniem, mówił Stanisław sapiąc i pięści ściskając. Wystroiła nas na dudków a Władysławowi usługi nie odmówiła.

— Powiedział przecie że to jego narzeczona, mruknął Jan. Stanisław podniósł ramion.

— Tobie się zdaje, rzekł, że każdy jak ty jest romansowy i z pierwszą lepszą spotkaną na ulicy, byle mu wpadła w oczy, gotów się żenić. Miłość kupuje się czasem zręcznością, czasem pieniędzmi, ale koniec końcem kupuje się daję ci na to słowo honoru.

— Takiej miłości nie pragnę... wyrzekam się jej...

— Dobrze, dobrze, później o tem pogadamy. Władysław złapał się szkaradnie, ale ze mną nie łatwa sprawa, pokażę mu wkrótce który z nas zręczniejszy, czy on ze swoją baranią zapleśniałą pokorą, czy ja pogardliwie przez niego nazywany warszawskim pozytywiztą, jakby każde miasto w Europie miało swój pozytywizm.

Jan rozstawszy się ze Stanisławem, późno wrócił do domu i zastał swoich towarzyszy zabierających się do spania. Zapytany gdzie bawił tak długo, powiedział że się przechadzał po ogrodzie Saskim i tak się w nim długo zabawił, że nie zważał na trajkotkę i zastawszy bramy zamknięte zaledwie wydobył się na ulicę. Całą noc przemęczył się w zupełnej prawie bezsenności.

— Więc i miłości nie ma na świecie takiej jakiej pragnę? pytał sam siebie. Nie można nawet pokochać bez kieszeni napchanej złotem, aby pewnym być serca tej którą się wybrało. Nędzny świecie, duszy naprawdę nie ma w tobie. Gdyby była w nim choćby iskierka, toby zaświeciła dla mnie blaskiem którybym dojrzał w pośród największej ciemnicy. Nie mogę jej dostrzedz nigdzie... wszystko jest kłamstwem, wszystko wypływem przypadku, człowiek żyje, kręci się jak mrówka po ziemi a potem w proch rozsypany staje się śmieciem i ginie bez śladu. Straszna dola łaknąć wiecznie, pragnąć, spodziewać się i przekonywać się co chwila o nicości wszystkiego: jakaż to okropność! Dawniej powiadano mi: tam w nieprzejrzanych wyżynach cel życia migiem przechodzącego na ziemi. Tam! a któż to widział? Gdzież nauka coby jasno stwierdzała to dziecinne głópców przypuszczenie? Cacko to dobre dla dzieci ale nie dla ludzi co doszli już tyle prawd tak jasnych i przekonywających i śmieją się z prostaków przez złych wyzyskiwanych. Modlitwa? Do kogo? Materya i siła są czynnikami nieubłaganemi, możnaż się modlić do dwóch rzeczy które człowiek kombinacyą składających go pierwiastków, umie użyć według swej woli i potrzeby? Ci co tego doszli, na potwierdzenie swoich twierdzeń użyli mądrości całego świata, stracili całe swe życie na dociekanie prawdy, czyż więc mogą się mylić, czyż nie wytłomaczyli jej tak jasno że żadnej nie pozostawili wątpliwości, czyż można im nie wierzyć? Toć mędrcy przecieć a ja... Tak, przy nich prawda, straszna ona, ale cóż temu winni? Mieliż ją ukryć dla tego że okropna?

Błąkam się.... szaleję... wewnątrz siebie czuję tylko ból i rozpacz... nie wytrzymam dłużej... cierpienie pomału zabije mnie, trzeba się go pozbyć... a na to jeden tylko środek... dziś czy jutro jedno mnie czeka a im prędzej tym lepiej.

Gnębiony myślami, Jan zaledwie nad ranem zdrzemnął się cokolwiek, a gdy wstał miał spalone usta i oczy zapadłe świecące żarem boleści. Zwróciło to uwagę towarzyszy, przestraszył się nawet Stanisław, sprowadził doktora, pobiegł po lekarstwo ale gdy z niem powrócił Jana nie zastał w domu. Wrócił dopiero przed wieczorem w spokojniejszem cokolwiek usposobieniu, i choć miał policzki zapadnięte ale nie był tak ponuro milczącym jak przedtem: czasem uśmiechał się i więcej był mówiącym. Stanisława to nie zadowolniło, wyłajał za nieużycie lekarstw i odtrącenie pomocy lekarskiej.

— Ale jestem zdrów zupełnie, odrzekł z niechęcią, a wy mnie gwałtem chorym chcecie zrobić. Dajcież mi święty pokój.

Stanisław doradził wyjazd do stryja na czas jakiś aby w świeżem powietrzu odzyskać utracone siły.

— A to po co? zapytał Jan. Jeżeli mnie widzicie zmienionym i stanem moim choć niesłusznie przestraszacie się, to mamże zrobić stryjowi tak niemiłą niespodziankę swojem przybyciem. Wszystko to się skończy niedługo: jeźlim chory jak powiadacie to wkrótce czuję to że wyzdrowieję zupełnie a wówczas zrobi się jak wypadnie. Wyjechać ani myślę.

Stanisław jeszcze probował pokrzepić go według swego przekonania środkiem najskuteczniejszym, pewnością zdobyczy wzajemności Zosi. Ale Jan nic już na to nie odpowiedział, zbladł tylko i uśmiechnął boleśnie.

Stanisław napisał do stryja wzywając jego przybycia i zabrania Jana na wieś.

I tak zeszło dni kilka, Stanisław prawie nie odstępował Jana, namówił do użycia lekarstwa ale to bez skutku pozostało. Wieczorem jednak Jan był spokojniejszy, wypił herbatę, wypalił cygaro, po tem coś pisał, wydobywał rzeczy, układał je, porządkował, wreszcie rozebrał się i położył. Stanisław przez cały ten czas będący pode drzwiami na czatach, zobaczywszy światło zgaszone, poszedł do swojej sypialni. Nad ranem zerwał się przerażony niezwykłym hukiem. Naraz jeden znaleźli się wszyscy trzej przy drzwiach pokoju Jana: gdy je roztworzyli, ujrzeli młodzieńca leżącego na ziemi bez życia.

Na drugi dzień gazety doniosły o tym strasznym wypadku. Samobójca, pisały, był jedynym synem powszechnie szanowanego i zamożnego obywatela. Utrzymują że powodem do tak rozpacznego kroku, była miłość bez wzajemności. Smutny to niezmiernie objaw upadku moralnego dzisiejszego pokolenia, a tym smutniejszy, że coraz częściej z obowiązku kronikarskiego zmuszeni jesteśmy podawać szczegóły podobnych zbrodni, wykonywane nawet przez wyrostków małoletnich.

Widocznie jest to choroba, jak każda inna, rozszerzająca się w sposób zatrważający. Ludzkość zda się stać na samym brzegu przepaści... Fatalność prze ją ku niej, czyż nie ma środka ratunku?

Jest i to jedyny, staranne wychowywanie młodego pokolenia, aby w zdrowem ciele mieściła się zdrowa dusza.

Ciała nie rozmiękczajcie zbytkiem i pieszczotą, ducha nie dławcie przedwczesną subtelnością rozumowań i złym przykładem.

Życie to walka, niechże przyszli w niej szermierze mają silną dłoń i puklerz ukuty z myśli pracą wieków zdobytej. Szanujcie tę myśl choćby całkiem była błędną, bo stanowi siłę; głupcy tylko i szaleńcy odrzucają ją bezwarunkowo. Aby ich było jak najmniej, rozszerzajcie oświatę, książkę włóżcie w każdą rękę, ale oświatę zdrową a książkę rozumną, oparte na myśli owej przewodniej dającej nadzieję przyszłości a pociechę w obecności.

Postęp to jak pień drzewa który ciągle wzrasta i grubieje a nikt tego wypatrzyć nie może. Sztuczne działanie może w nim pracę czasu przyspieszyć, ale będzie to rozwój chorobliwy i drzewo przed czasem uschnie i spróchnieje. Postęp sztuczny, gwałtem przyspieszany ten sam los czeka. Nie stawiajmy mu tamy ale i nie uprzedzajmy, ułatwiajmy jego wzrost ale brońmy od zbyt wybujałych wybryków. Co się ma rozjaśnić, tego nie przytłumi żadna siła, co ma zamrzeć to zamrze mimo największego zabiegu aby w niem życie utrzymać. Podobnie harmonijny rozwój społeczny, dziś zastąpił sztuczny tym szkodliwszy że zaraźliwy, a owocem jego cześć przesadna dla materyi. Jeżeli go nie zmienicie, dolne warstwy jako złożone z milionów ucierpią a z niemi cały organizm społeczny, jak to i dziś ma już miejsce, ale przetrzymają przesilenie i ocaleją: wyższe na tysiące zaledwie liczone, przepadną z wielką ogólną szkodą. Jest to prawo któremu ulega ludzkość z siłą nieprzepartą, historya to jedna karta dowodów tej niepowstrzymanej i niczem nie ubłaganej potęgi.

Ocknijcie się! Pozytywizm przyjmijcie jako metodę znaną od wieków, posługującą w wielu razach do zdobyczy prawdy ale nie jako dogmat jakim go robicie. Szanujcie go, cieszcie się zdobyczami przy jego pomocy otrzymanemi, ale nie stawiajcie go wyżej po nad wszystko, nie róbcie cielcem dawnych bałwochwalców. Gdyby pozytywizm poznał na wskroś co nas otacza, zbadał światy w przestrzeniach zawieszone do których sięga wzrokiem, i zaznajomił się z niemi jak z własnym domem, to i tak nie byłby bliższym odkrycia wiecznej tajemnicy jak dzisiaj choć tego nie spełnił.

Człowiek żyje w granicach ziemi, która jest pyłkiem nic nieznaczącym w nieograniczonej przestrzeni napełnionej światami, na oznaczenie których ilości w mowie ludzkiej nie ma liczby: posługuje się zmysłami niezmiernie ograniczonemi, jakżeż może ów pyłek krótkowidzący, osadzony na

pyłku jak pupka na liściu, rościć prawo do poznania najwyższej prawdy jedynie przy pomocy własnych zmysłów i tak drobnej podstawy jaką ziemia mu daje? Czyż to do czego dosięga jest wszystkiem? Czyż nie jest choć w wielkości już niepojęte, jednym drobniutkim punkcikiem w przestrzeni bezgranicznej?

Powiadacie, że wierzycie tylko w to co widzicie, a co za tem się znajduje tem się nie zajmujecie. Zgoda! Dla pozytywizmu jako opartemu na doświadczeniu zatwierdzonem zmysłami, jedyne to szranki działalności. Jest on tu w swoim żywiole i ważne oddaje posługi. Czyż jednak możecie zasadnie utrzymywać, że po za przestrzeniami przystępnemi dla zmysłów, zasianemi miliardami światów, nie ma dalszej przestrzeni i drugich światów i tak bez miary i liczby? Wiem że nie zaprzeczycie temu, jakże więc możecie z drobnej cząstki, z jednego źdźiebełeczka sądzić o całości?

Powiadacie że dla myśli waszej i te dane jakie posiedliście są dostateczne — i na to zgoda! Myśli zatem przypisujecie siłę dochodzenia prawdy, dla czegóż przeczycie najwyższej przez nią głoszonej, że jest Przyczyna wszystkich przyczyn, niepojęta, niezbadana i doskonała, która była początkiem wszystkiego a sama nie miała początku?

Żądacie na to dowodu matematycznego, dla czegóż nie popieracie nim waszej teoryi *przypadku*, co niby ma wszystko tłomaczyć? Dla czego podnosicie ramion z pewnem urąganiem, gdy wam kto mówi: *wiem, że nic nie wiem* i nazywacie go głupcem? Dla czego potępiacie potrząsających głową, gdy do nich mówicie: *wiem, że wiem wszystko*!

Ocknijcie się! Dochodźcie, pracujcie, badajcie, i naukę głoście światu, ale wnioski zostawcie przy sobie, nie narzucajcie je drugim. Jeżeli słuszne same powstaną, jeźli błędne upadną, a czyż godzi się podawać je nawet bez złej woli, za prawdę?

Pozytywizm warszawski długo bredził i bredzi jeszcze, aby nie miał szkodliwie oddziałać. Podobny do jadu, spływa z wyżyn coraz niżej i niżej i co słabe i chwiejne dusi w swoim uścisku, szerząc potworne samolubstwo, chęć posiadania bez pracy, używania bez zasługi i pragnienie niczem nieugaszone rozkoszy. W górze tworzy sceptyków, młodych zgrzybiałych starców, szyderców wszystkiego co za święte dotąd uważano i samobójców nawet z dzieci: w padole społecznym rabusiów i próżniaków. Proste to następstwo błędu społecznego. Gdyby pisma i książki pozytywistów warszawskich nie znalazły poparcia, gdyby przeciw nim silną utworzono przeciwdziałalność, nie śmiałyby rzucać się na podwaliny porządku społecznego z zażartością prawdziwych szaleńców. W napaściach ich nic nie uszanowano ni ludzi ni zasady: sponiewierano najszlachetniejsze uczucia, religią i miłość wszelkiego rodzaju nazwano głupstwem, poświęcenie waryacyą, małżeństwo kajdanami, rodzinę jarzmem, przeszłość mogiłą, przyszłość marzeniem, a w miejsce to podsunięto walkę o byt, a więc prawo siły, wybór naturalny, a więc rozpasanie huci, swoje *ja* jako jedyny cel życia a więc najwyuzdańsze samolubstwo, z czego loicznym następstwem, pieniądz wyrosł na olbrzyma a dążenie posiadania go podniosło się do obowiązku.

Kto burzy a nic nie stawia to waryat: dach choć dziurawy zawsze lepszy od otwartej przestrzeni nie dającej żadnej osłony. Łatajcie go, podtrzymujcie a gromadźcie materyały do nowej budowy, która łatwo się wzniesie gdy do niej nic nie braknie ani gwoździa ani rąk do pracy. Oświata to siła co cuda tworzy, o nią się starajcie nie w setkach jak dotąd ale w milionach jak będzie w przyszłości. Gdy ją zrobicie powszechną, prawda sama wyłaniać się będzie z pod kłamstwa gdzie ją przykrywa. Pokazywać ją gwałtem nieprzygotowanym do jej zrozumienia, jest to ich oślepiać a nie leczyć z krótkowidztwa. Co stawiały wieki, tylko wieki zmienić mogą a nie chwila gorączkowego szału. Prawd nie zdobywa się za jednym pociągiem pióra choćby najrozumniejszego człowieka. Każda nowa myśl to iskierka, gdy z przeczucia prawdy powstała tleje i nic jej nie przydusi, gdy z fałszu gaśnie bezpowrotnie. A czy można ocenić z pierwszego pobłysku jaka z nich której natury? Wy jednak wszystkie bez wyboru, za pierwszem ich zjawieniem się, przyjęliście za dogmata nowej wiary. Czyż to rozumne? Oślepiacie też a nie rozpraszacie ciemności i jakże tu dziwić się owym strasznym zboczeniom upadającej coraz bardziej moralności?

Jan stał się ofiarą tego szalonego prądu na nieprzygotowany umysł napadłego. Postać to nie zmyślona, podobnych jemu niestety! dzięki waszej działalności, w samych ogłoszeniach publicznych naliczyć można wiele. Czyż mam je wymieniać? Jedni zabijają się ciałem, drudzy duchem, a ileż powstaje kalekców moralnych których statystyka zliczyć nie umie, tylko z czynów sądzi o wzmagającem się z dniem każdym ogólnym upadku!

Aby ten prąd szalony powstrzymać, przede wszystkiem wytrąćcie z każdej ręki pismo lub książkę jemu posługujące, co nie poprzestając na głoszeniu zdobyczy naukowych wyprowadzają z nich teorye burzące podwaliny porządku społecznego. Osamotnieni ich apostołowie muszą zmilknąć a jeźli przepadną tym lepiej dla ogólnego dobra. Głos ich jak zaraza szerzy się wszędzie, nawet tam gdzie książka nie dochodzi. Potęga słowa nawet w złem jest straszna a ciekawość ludzka niczem nie powstrzymana. Słowo to podsłuchane, z salonu przechodzi do przedpokoju, ztamtąd do kuchni. poddasza, chaty i najbiedniejszej lepianki: nurtuje, rozwija się, rozszerza i zmieniając się w potwora wedle gruntu w który wrasta, słabych zabija i unicestwia bez powstania.

Tę wędrówkę słowa wypatrzyć łatwo... widziałem ją i zadrżałem!

Odwróćmy oczy od tego wstrętnego obrazu! Nie mogłem go pominąć choć go kreśliłem z boleścią. Prawdy nie należy ukrywać, choćby nawet gromy potępienia miały spaść na głowę jej głosiciela. Rzućcie je ale ocknijcie się i rozważcie słowa, które wam z całej głębi duszy i serca wypowiedziałem. Są one słabym tylko pobłyskiem tego co czuję, resztę niech wam dopowie własne sumienie!

A teraz dla pociechy po tych ponurych myślach, wrócimy do rodziny pani Mikłockiej, która choć pozytywizmu nie rozumie, nienawidzi go szczerze i przy każdem wymówieniu jego nazwy, w myśli żegna się i bije w piersi, gdyż jej praktycznie spełniać tego Klarka zabroniła. A był tego ważny powód.

Raz Anzelm z Bonawenturą rozgadali się o nim obszerniej z powodu zbrodni z najzimniejszą krwią dokonanej. Opowiadając szczegóły, Anzelm obecny przy pierwszem badaniu przestępców, powiedział że ci tłomaczyli się wpływem nowych teoryi z chciwością chwytanych, i że tym sposobem czyn przez siebie dokonany uważali za prostą operacyą walki o byt, która nakazuje aby to co jest bezużytecznem w rękach jednych, stało się własnością umiejących z tego skorzystać.

— I cóż państwo powiecie o naszych pozytywistach warszawskich? zapytał w końcu, którym zdaje się że ludzkość zbawią? Pozytywizm to zwierz najdrapieżniejszy...

— O! przerwała pani Mikłocka, w lasach u wuja widać że go nie było bo pan Hes byłby go zabił.

— Rzeczywiście nie było, odrzekł Anzelm niezrażony tak niestosowną uwagą, bo on trzyma się kniei zowiącej się ludzkością i przechadza się w niej w postaci słowa a raczej szatana według odwiecznej legendy.

— Szatana! z przerażeniem powtórzyła pani Mikłocka i zrobiwszy wielkie oczy przeżegnała się, uderzyła w piersi i wyszeptała:

— Od powietrza, głodu, ognia i tej zmory zachowaj nas Panie!

Klarka patrząc na to, spojrzała na matkę znacząco, pani Mikłocka wyprostowała się i westchnęła domyślając się że coś zbroiła, i od tego czasu nie wchodząc w powody niemej bury, pozytywizm znienawidziła i przy każdem wymówieniu jego nazwy, jak zmorę odganiała znakiem Krzyża ale już tylko w myśli wykonanym, pewna że czy to zwierz czy szatan, złamie kły i pazury gdyby mu przyszła ochota napaść na nią i rozedrzeć na dwoje.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYE ZAGRANICZNE.

Ze Lwowa.

Dzisiejszą korespondencyę zacząć nam wypada od wspomnienia pośmiertnego. Tym razem nawet dwom zmarłym należy się wspomnienie: ś. p. Hipolitowi Stupnickiemu i ś. p. dr. Eugeniuszowi Janocie.

Ś. p. Hipolit Stupnicki był najstarszym dziennikarzem lwowskim, można go nawet nazwać ojcem dziennikarstwa lwowskiego. Zaszczytne to stanowisko zdobył sobie zmarły nie nadzwyczajnemi zdolnościami, których stanowczo nie posiadał, nie głębszem wykształceniem literackiem lub politycznem, którego nie mógł mu przyznać nawet najgorętszy wielbiciel, lecz wytrwałością i odwagą godną podziwienia, które wśród danych stosunków więcej dokazały niż zdolność pierwszorzędna. Ś. p. Hipolit Stupnicki sam zapewne nie marzył o tem za młodu że zostanie kiedyś dziennikarzem, że założy kilka pism, że stanie się wydawcą różnych książek, że doczeka się pewnego stanowiska w zawodzie pisarskim. Przypadek jak mówią zrobił go dziennikarzem a w czasach kiedy przypadek taką rolę odegrał, tj. w roku 1850 i później aż do r. 1860 wymagania publiczności naszej były bardzo skromne bośmy wcale nie mieli prasy. Ś. p. Stupnicki łatwiej niż kto inny uzyskać mógł w tych czasach zezwolenie władzy na wydawanie dziennika, bo nazwisko jego nie wzbudzało obawy.

Pierwszą, główną i dotąd istniejącą kreacyą Stupnickiego był *Przyjaciel domowy*, pisemko z bardzo skromnemi pretensyami, obliczone głównie na zaściankowych czytelników, którym wystarczało to zupełnie, jeżeli, raz na tydzień otrzymał drukowany arkusz papieru z jaką taką powiastką, skromnym wierszykiem, dorywczą rozprawką, szpaltą rad gospodarskich, drugą szpaltą zapisków z hygieny wreszcie z kilkunastu facecyjkami kronikarskiej natury. Stupnicki dogadzał swoim czytelnikom jak mógł, usiłując nawet czasem ozdobić pismo swoje illustracyami, które jednak nawet *Przyjaciela domowego* ozdobić nie mogły. Chociaż cała treść *Przyjaciela domowego* nigdy nie dorównała nawet skromnem wymaganiom pisma literackiego, chociaż powiastki i artykuły były widoczną zbieraniną utworów dyletanckich nadsyłanych redakcyi przez początkujących autorów, mimo to *Przyjaciel domowy* encyklopedycznym układem swoim potrafił zdobyć

sobie szerokie koło czytelników i posiadał ich nawet niegdyś do tysiąca. Jestto cyfra dziś prawie niedościgniona dla naszych pism literackich. Nie posiadał jej teraz nawet *Przyjaciel domowy*, chociaż wydawca krzątał się jak mógł, apelował do ambicyi swoich dawnych prenumeratorów i uzupełnił go dodatkiem treści politycznej, wydawanym w formie popularnego dwutygodnika politycznego p. t. *Gazeta wiejska*.

Może w rocznikach *Przyjaciela domowego* spoczywa nie jeden utwór nie tyle cenny jak ciekawy dla tego, że wyszedł z pod pióra które później zasłynęło znakomitemi utworami. Niejeden bowiem z naszych literatów, którzy dziś wysoko stanęli, zaczynał swój zawód od utworów drukowanych w *Przyjacielu domowym* bezimiennie lub pod pseudonimem. Nie na tem jednak polega główna zasługa *Przyjaciela domowego.* Kto pisać będzie historyą dziennikarskiego ruchu w Galicyi nie odmówi wydawnictwu ś. p. Stupnickiego tej zasługi, że było ono w swoim czasie jedynie przystępną lekturą dla licznej klasy oficyalistów prywatnych, niższych urzędników i w ogóle tej prowincyonalnej publiczności, która bardzo mało wydaje na zaspokojenie swoich skromnych potrzeb umysłowych. W klasie tej *Przyjaciel domowy* zapewne utorował już drogę lepszym pismom literackim, wzbudził silniejszą chęć do czytania. Wydawcy dzisiejsi i księgarze powinni poczuwać się do wdzięczności dla *Przyjaciela domowego.*

Ś. p. Stupnicki jest właściwym twórcą organu codziennego (*Gazeta Narodowa*), który wychodząc już lat kilkanaście, jest po *Gazecie Lwowskiej* najstarszym u nas dziennikiem i długi czas był dyktatorem formalnym dla opinii publicznej, dopóki nie rozwinęła się konkurencya i na tem polu.

Oprócz pism i dzienników wydawał ś. p. Stupnicki różne rzeczy mające więcej praktyczną niż literacką wartość, jak np. kalendarze, skorowidze. Większą wartość ma jego dzieło statystyczne o Galicyi, które przez długi czas było jedynem źródłem w tej mierze, oraz herbarz dość rozpowszechniony w kraju. Mimo tylu wydawnictw Stupnicki był biedakiem w całem tego słowa znaczeniu i nie miał w życiu swojem chwili, w której nie gniotłaby go troska już nie o swoją przyszłość i los rodziny lecz po prostu o chleb powszedni. Litość zbierała na widok starca (Stupnicki umarł w 72 roku życia), który przygarbiony i wynędzniały wlókł się od drukarni do drukarni z manuskryptami i korektami pod pachą. Przykrym był ten widok szczególnie w zimie, gdyż ś. p. Stupnicki nie miał nawet nigdy ciepłego ubrania a mimo to nie mając się kim wyręczyć musiał sam wszystko robić: pisać, poprawiać, ekspedyować i niemal paczki na pocztę odnosić! Był to smutny obraz żywy naszych stosunków dziennikarskich! Na koszta pogrzebu musiano zrobić na prędce składkę po redakcyach i księgarniach. Rodzinie pozostawił zmarły tylko nazwisko, które nie zajaśnieje w historyi literatury pomnikowemi dziełami, ale zajmować będzie zawsze skromne miejsce, zdobyte trudami i uczciwą pracą a okupione ciągłą nędzą.

O ś. p. dr. Eugeniuszu Janocie nie mamy do zapisania tyle ciekawych szczegółów z życia ale za to daleko więcej prac rzetelnej wartości naukowej. Ś. p. dr. Janota był w ostatnich latach profesorem tutejszego uniwersytetu i zajmował katedrę literatury niemieckiej, a przedtem zasiadał w najwyższej magistraturze szkolnej, w krajowej radzie szkolnej. Gramatyka niemieckiego języka napisana przez ś. p. dr. Janotę, spotkała się z wielu zarzutami, ale tylko co do praktycznego układu dla użytku szkolnego. Naukowa strona została pochlebnie oceniona. Chociaż germanista ze stanowiska swojego jako profesor, dr. Janota nie uważał literatury niemieckiej za swój przedmiot fachowy. Nauki przyrodnicze stanowiły głównie jego zajęcie, im poświęcał cały czas wolny od zajęć fachowych i na tem polu napisał wiele rozpraw ciekawych. Wycieczki w różne strony kraju i badania krajowych stosunków przyrodniczych, wypełniały każde ferye i dostarczały zmarłemu tematów ciekawych. Ś. p. Janota był tak wielkim miłośnikiem przyrody, że czasem popadał w ekscentryczność. We Lwowie założył towarzystwo ochrony zwierząt i poruszył wszelkie sprężyny, aby położyć kres tak upowszechnionemu u nas barbarzyństwu w obchodzeniu się ze zwierzętami domowemi. Towarzystwo takie było potrzebne i przyniosło niezaprzeczone korzyści w moralnem znaczeniu, ale towarzystwem tem był właściwie tylko dr. Janota. Sam wydawał i pisał miesięcznik tego towarzystwa, sam korespondował z wszystkiemi władzami, sam pokrywał znaczną część kosztów administracyjnych. Nieraz widziano jak np. dr. Janota oburzony widokiem barbarzyńskiego traktowania zwierząt domowych na ulicy, sam zatrzymywał barbarzyńskiego sprawcę i oddawał go policyantowi.

Ś. p. Janota umarł w sile wieku, liczył bowiem dopiero 56 lat.

Kto od dłuższego czasu nie pominął żadnego uroczystego posiedzenia w zakładzie Ossolińskich, które w myśl woli fundatora odbywa się zawsze 12 października, musiał z nielicznego udziału publiczności wyznać ten niepochlebny dla nas wniosek, że tak piękna i zasłużona instytucya staje się coraz mniej popularną. Wniosek ten byłby jednak całkiem niesłuszny, bo co do popularności, nawet krakowska akademia nauk jako zbyt jeszcze młoda instytucya, nie prześciga zakładu Ossolińskich. Słaby udział naszej publiczności na dorocznych uroczystych posiedzeniach, można do pewnego stopnia usprawiedliwiać zbyt poważnym programem, ale młodzieży akademickiej nikt i nic nie usprawiedliwi. Corocznie powtarza się ten zarzut, a mimo to na kilkaset akademików zaledwie kilkunastu, czasem nawet kilku, pamięta o tym moralnym obowiązku. W tym roku uroczyste posiedzenie w zakładzie Ossolińskim, rozpoczęło się odczytem dyrektora dr. Wojciecha Kętrzyńskiego o Zbigniewie Ossolińskich wojewodzie sandomierskim, ojcu kanclerza Jerzego Ossolińskiego. Rozprawa ta sumiennie i umiejętnie opracowana opiera się na pamiętniku Zbigniewa Ossolińskiego, który pod firmą zakładu zostanie wkrótce wydrukowany. Po odczycie dra Kętrzyńskiego sekretarz zakładu p. Klemens Kantecki odczytał sprawozdanie za rok ubiegły. Ze sprawozdania tego pokazuje się, że zakład wzbogacony został darami i rzeczami kupionemi, że zarząd jego znacznie postąpił w uporządkowaniu zbiorów, i że ze zbiorów tych w ciągu ostatniego roku korzystało daleko więcej osób aniżeli w latach poprzednich. Są to trzy fakta świadczące o rozwoju zakładu pod każdym względem. W cyfrach stan zakładu Ossolińskich tak się w tej chwili przedstawia: dział drukowanych unikatów posiada zakład 72,285, dubletów 4,692, rękopisów 2,577, ogólna suma dochodów wynosiła 21,661 złr. a rozchodu 18,225 złr. W czytelni naukowej wydano w ostatnim roku więcej niż w poprzednim o 1658 dzieł i 3284 tomów; w czytelni dla młodzieży przeznaczonej czytających było w ciągu roku 8,710 t. j. o 1949 więcej niż w poprzednim roku. Do domu wypożyczono 4,404 dzieł w 6,753 tomach t. j. o 1,655 dzieł i 2,361 tomów więcej niż w poprzednim roku. W muzeum, które pod troskliwem kierownictwem p. Pawłowicza świetnie się rozwija i porządkuje, studyowało 213 osób. Jako najcenniejsze nabytki wymienia sprawozdanie zakładu dary rossyjskiego ministerstwa dóbr państwa, departamentu rolnictwa 42 dzieł, i sekretarza rossyjskiego towarzystwa historycznego. Muzeum otrzymało znakomity dar od pani Namiestnikowej hr. Maryi Potockiej. Jest to namiot turecki, zdobyty przez Jana Sobieskiego pod Wiedniem. Nadto jeszcze ofiarowała hr. Potocka muzeum piękny gobelin przedstawiający księcia Michała Radziwiłła w bitwie w Sławucznej pod Mozyrem.

Mówią tu głośno o nowym dzienniku, który zacznie wychodzić od Nowego roku i ma być organem konserwatywnego stronnictwa. Złożono już na ten cel fundusze znaczne a teraz chodzi tylko o znalezienie dobrego redaktora. W tem właśnie sęk, bo Lwów jest ubogi w reporterów a cóż dopiero mówić o redaktorze, któryby stanowił dobrą firmę dla nowego dziennika.

Dnia 29 b. m. Kraków wspaniale uczcił zasługi Jana Matejki. Rada miejska wręczyła mu berło na znak panowania w dziedzinie sztuki a sam akt wręczenia odbył się z imponującą okazałością

B. Ł.

---

z Londynu.

Zbieracze chmielu. — Posąg kapitana Cook w Sydney i w Londynie. — Kobieta kandydatem do Parlamentu. — Śmierć Grant'a. — Środki przeciw pijaństwu. — Indye i ich sąsiedzi, przez W. P. Andrew. — Początek bazarów na dobroczynność. — Rare Pale Magaret. — Verny Court. — Wuj Tom. — Tragik Irwing występujący w roli komicznej.

W jednej z dawniejszych moich korespondencyi, nadmieniłem jak straszną plagą mogą stać się dla Anglii „zbieracze chmielu“ kilkudziesiąt-tysięczna banda łotrów bez czci i wiary. Dzięki prasie, od pewnego czasu rząd zaczął baczniejszą zwracać na nich uwagę, a zwykły ich coroczny odjazd z Londynu, otoczony był pewnemi ostrożnościami. Nie wiem już jakim sposobem, bo pewnie sami ich nie czytali, dość że doszła do nich wieść o artykułach dziennikarskich, wyświecających ich postępowanie, nihilistowskie pojęcia i zasady, i głośno odgrażali się przeciw wszystkim w ogóle zamożniejszym klasom społecznym, do tego stopnia, że administracya drogi żelaznej South-Eastern, którą mieli odbyć podróż ci turyści w łachmanach, mając na względzie bezpieczeństwo spokojnych mieszkańców przedmieść, postanowiła wyprawić w nocy te rozkiełznane bandy. Od północy do trzeciej rano, dzika ta tłuszcza przeciągała z krzykiem i wyciem, przez dzielnice prowadzące do dworca kolei, prowadząc z sobą żony, dzieci, posłania, przyrządy kuchenne, psów i osłów — istny tabor cygański. Na dworcu wzniesiono ogromną baryerę nabitą gwoździami, aby tłuszcza ta tłumnie nie rzuciła się na platformę; zostawiono tylko tak wązki otwór między deskami, żeby jeden tylko człowiek mógł przejść przez niego, za to w wagonach pakowano ich jak śledzi w beczce „aby nie mogli bić się z sobą.“ Wszystkie te ostrożności nie zdołały jednak zapobiedz strasznym bijatykom staczanym przed wsiadaniem do wagonów, skutkiem których wielu śmiertelnie rannych odwieziono do szpitali. Tak to, jak mówi przysłowie „każdy ma swego móla co go gryzie“ tu socyaliści, tam nihiliści, w Anglii zbieracze chmielu, podzielający w zupełności zasady nihilistów i do jednego zmierzający celu.

Shakespeare wypowiedział wielką prawdę w tych słowach „Pamięć złego jakie człowiek wyrządził zawsze go przeżyje, ale dobre i świetne czyny ludzkie najczęściej wraz z nimi zstępują do grobu.“ Trzydzieści lat upłynęło jak rzucono pierwszą myśl

wzniesienia w Sydney pomnika dla kapitana Cook'a, który w roku 1770 odkrył Australią, następnie zapomniano o człowieku co taką sławą okrył marynarkę angielską, aż nareszcie dawny zamiar został wskrzeszony i ze składek złożonych w koloniach postawiono posąg, który wystawiony na widok publiczny, wielkie tu obudził zajęcie.

Kapitan Cook, wówczas porucznik marynarki królewskiej i komendant małego statku *Endeavour*, odebrał rozkaz eskortowania przyrodników Józefa Banks i doktora Solander, udających się w podróż naukową na około świata. Okręt dopłynął do portu na Południu, który przyrodnicy nazwali Botany-Bay. Północna i zachodnia część tego wybrzeża, zwiedzana już była przez Portugalczyków i Hollendrów, ale żaden żeglarz nie dopłynął przedtem na wybrzeża wschodnie i Cook zajął je zaraz w posiadanie w imieniu króla Jerzego III i nazwał Nową-Wallią południową. Wróciwszy do Anglii, Cook otrzymał od rządu polecenie przedsięwzięcia nowej wyprawy w celu kolonizacyi nowo odkrytego kraju. Ze względu na wielką odległość i trudną podróż, przeznaczono Botany-Bay na osadę karną. Na tę drugą wyprawę wyznaczono dwustu żołnierzy marynarki i zabrano 750 galerników a w ich liczbie 200 kobiet. Dopłynęli szczęśliwie do Botany-Bay, i oto jak powstała kolonia tak dziś kwitnąca, licząca przeszło 2,000,000 mieszkańców, która w przeciągu kilkudziesięciu lat dosięgła takiej świetności i bogactwa, jakich pozadrościć jej może nie jeden kraj starej Europy.

Posąg kapitana Cook odlany z bronzu ustawiony będzie na najwyższym punkcie miasta Sydney, i każdy okręt wpływający do portu pochyli przed nim swą flagę. Posąg jest dziełem znakomitego rzeźbiarza, nazwiskiem Woolner, i przedstawia kapitana w chwili gdy postrzegł ziemię jak dzień zaświtał; prawą rękę wzniósł do góry na znak tryumfu, a lewą opuścił niedbale wraz z teleskopem którym się posługiwał przed chwilą, a teraz już mu niepotrzebny. Kapitan ma na sobie mundur marynarski; galon uwydatniony jest przez jaśniejszy bronz. Jest to pomysł bardzo dobry, pełen naturalności i prawdy. Zajęcie jakie obudził ten pomnik wzniesiony kapitanowi Cook przez kolonistów, pobudziło współziomków sławnego marynarza do pójścia za ich przykładem, i dla tego powstrzymano odstawienie posągu do Sydney, aby artysta odtworzył podług niego drugi tychże samych rozmiarów, który będzie wznosić się w miejscu gdzie dziś wystawiono model, to jest przed klubem United Service. Na piedestale ma być przedstawiona śmierć dzielnego kapitana zamordowanego w Taiti, gdzie widać nie tak łatwo zapominają o strasznych wydarzeniach jak w Europie, gdyż niedawno jeszcze jeden z ministrów obecnego króla, nie przyjął zaproszenia na obiad do konsula angielskiego, z obawy że niezawodnie zostałby otruty. „Mój pradziad przewodniczył bandzie która zamordowała kapitana Cook, mówił, a konsul niezawodnie wie o tem, bo Anglicy wiedzą o wszystkiem, widzą nie patrząc, pewnie więc konsul pragnie pomścić śmierć swego ziomka.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Z powodów wadnej budowy sali w Trocadero, koncert p. Rubinsteina nie miał bezwzględnego powodzenia, chociaż artyści w odegranych utworach doznali jak najlepszego przyjęcia. Stwierdzonym został raz jeszcze ów cenny przymiot grzeczności właściwy narodowi francuzkiemu, dążącemu do okazania każdemu uznania choćby nad zasługę. Niezaprzeczenie jednak pan Mikołaj Rubinstein jest zdolnym artystą posiadającym niepospolite wykształcenie muzyczne; jako dyrygujący chórami i orkiestrą, wywiązał się znakomicie ze swego zadania i w tej mierze oklask był udzielony jak najsprawiedliwiej.

Inna rzecz zupełnie skoro mówić będziemy o wyborze sztuk odegranych na koncercie, w tej mierze mamy również własny sposób zapatrywania, jak się okazało różny wielce od widzenia szanownego dyrektora konserwatoryum moskiewskiego.

Każdy koncert z nadanem mianem pochodzenia, powinien przede wszystkiem dawać wyobrażenie o stronie muzykalnej narodu, przez wykonanie pieśni i utworów ułożonych wedle tematów ściśle narodowych. Wykonanie sztuk kosmopolitycznych różniących się jedynie siłą talentu od dzieł francuzkich, niemieckich lub włoskich, nie ma wyższego znaczenia a tem samem nie wychodzi z obrębów zwykłego koncertu. Koncerta szwedzkie w swoim czasie wywołały uniesienia i oklask ogólny, będące prostem następstwem wzbudzonego uwielbienia a nie zwykłej grzeczności, chociaż nie były przyobleczone w sztuczne formy, a powtórzyły jedynie zwykłe pieśni narodowe, śpiewane przez lud tak przy pracy jakoteż w czasie zebrań przyjacielskich.

Koncerta te miały piętna wyłącznie sobie właściwe, uwydatniając nam stronę muzykalną i poetyczną ludu szwedzkiego.

Odkrywał on niejako najgłębsze tajniki uczucia i wyobraźni, a tem samem miał prawo przemówić w czasie wielkiej uroczystości międzynarodowej. Nie możemy tego powiedzieć o koncercie ułożonym przez pana Rubinsteina. Przecież lud rosyjski chociaż nie stojący na wysokości muzykalnej ludu włoskiego lub Serbów, śpiewa jednak, a tem samem musi posiadać pieśni i tańce narodowe, które bez względu nawet na ich wartość wewnętrzną, wzbudziłyby większe zajęcie jako charakteryzujące naród od wyjątków z oper nie mających piętna wybitnego. Z tego stanowiska uważany koncert nie odpowiedział zupełnie swemu zadaniu: nie zapoznał on nas ani z uczuciem a ni z wyobraźnią ludu którego miano przybrał na afiszu.

Chór końcowy z opery Glinki, „*Życie za cara*“ i Sadko legenda ludowa przez Rimski-Korsakoffa profesora konserwatorym peterburskiego, miały widocznie na celu uwydatnić uczucia i wyobrażenia narodowe; nie dopięły jednak celu chociaż nie brak w tej mierze widocznych usiłowań. Chór końcowy Glinki ma więcej polityczne znaczenie, malujące żywo uniesienie i radość ludu patrzącego na koronacyą swego monarchy.

Słyszymy tam okrzyki wesołości, huk dzwonów i armat, śpiew tryumfalny uszczęśliwionego narodu: podobne zakończenie opery jest nadzwyczajnie świetne i żywo przemawiające do wyobraźni, ale na koncercie w oderwaniu czyni dziwne wrażenie, bo wybór podobny \[illegible\] jest niczem usprawiedliwiony patrząc na rzecz ze stanowiska muzykalnego.

Legenda Sadko pana Korsakoffa podaną jest na programie w głównej treści: wskazuje przeto słuchaczowi właściwe stanowisko zapatrywania ochraniając go od mozolnych domysłów. Okręt znajdujący się na pełnem morzu zatrzymany jest na miejscu przez jakąś siłę tajemniczą. Na okręcie znajduje się Sadko bogaty kupiec z Nowogrodu a jednocześnie znakomity gitarzysta. Wskazany przez los jako ofiara odkupienia, wrzuconym jest do wody. Nie ginie jednak ale prąd zaczarowany unosi go do przepaści wodnych, gdzie zbudowanym jest przepyszny pałac gieniusza wód. Uroczystość wielka; gospodarz domu obchodzi zaślubiny swej córki, Sadko więc odbiera rozkaz grania na gęśli. W miarę ożywiania się dźwięków muzycznych morze ulega coraz większemu wzburzeniu; okręt zagrożony jest zatopieniem. Sadko spostrzegłszy niebezpieczeństwo towarzyszy, zrywa struny instrumentu i uspokojone bałwany wracają do właściwego im łożyska.

Legenda nader poetyczna mająca tem większe znaczenie, jeżeli jest rzeczywiście utworem ludowym, o czem niech nam będzie wolno wyrazić powątpiewanie. Melodya przeto ma wyobrażać cudowne wypadki Sadki, jednem słowem naśladować naturę, co od jakiegoś czasu stało się modą w głównych stolicach europejskich, prawdopodobnie z braku natchnienia do utworów wyższego rzędu.

Z tego stanowiska uważana praca pana Korsakoffa posiada niezaprzeczenie wiele zalet, które wywołały szczery oklask zebranej publiczności. Utwory odegrane na koncercie czyniły na nas wrażenie powieści lub poematu, w których autor z pola opisu i opowiadania, nie może w żaden sposób wejść na pole dyalogu i dramatu. Czyni w tej mierze usiłowania nieustanne bez możliwości przebycia zaczarowanego Rubikonu, wraca więc do dawnej gawędy z nadzieją lepszego powodzenia w przyszłości. Czem dyalog i dramat jest w powieści tem pieśń w utworze muzycznym: ona powinna być główną podstawą kompozycyi a sztuczne wiązanie akordów, trudności wykonania wprowadzające w podziw znawców, powinny być stroną dodatkową ułatwiającą konieczne przejścia. Kompozycye odegrane na koncercie ułożone były wedle zasady wprost przeciwnej; rzecz dodatkowa stała się już nietylko główną ale wypełniającą utwory w całości; byliśmy ciągle jakby w przedstępie jakby w oczekiwaniu usłyszenia kompozycyi zapowiedzianej programem, gdy niespodzianie ostatni akord wyprowadza nas z błędu. Do wyjątków jednak wypada zaliczyć polonez Moniuszki z opery Hrabina, Kozaczek przez pana Dargomijskiego a nareszcie serenadę pana Czajkowskiego profesora konserwatoryum moskiewskiego.. Dwa pierwsze szczególniej utwory prócz pięknej melodyi, mają jeszcze zaletę pierwszorzędnej wagi przedstawienia charakterystycznego dwóch odrębnych rodzajów tanecznej muzyki.

Do ciekawości Paryża zwiedzanych chętnie tak przez tutejszych mieszkańców jako też przez cudzoziemców, należy zaliczyć balon uwiązany na linie. Zrósł on się niejako z życiem Paryżan bo uważanym jest za nowego rodzaju termometr wskazujący przemiany czasu. Skoro balon wznosi się w powietrzu majestatycznie to znak pogody: skoro zaś przykuty do ziemi napróżno wyrywa się w górne strefy, to zapowiedź niezawodna burzy lub słoty.

Balon z roku 1878 początkowo miał być urządzonym na polu Marsowem, dla braku jednak miejsca przeznaczono mu dziedziniec pałacu Tuilleries. Po raz pierwszy odważono się zbudować balon tak wielkich rozmiarów.

Orzeł, balon Godard'a zawierał 14,000 metrów kubicznych i miał nadany przymiotnik największego; tymczasem balon z r. 1878 zawiera 25,000 metrów kubicznych, i tworzy ogromną kulę mającą trzydzieści sześć metrów średnicy. Balon wraz z łódką ma pięćdziesiąt pięć metrów wysokości, to jest wyższym jest o dziesięć metrów od paryzkiej bramy tryumfalnej.

Balon z r. 1867 zabierał na raz tylko dwanaście osób i wznosił się na wysokość dwustu pięćdziesięciu metrów; balon z r. 1878 zabiera pięćdziesiąt osób i biegnie na wysokość sześćset metrów. Dzieło tak niepospolite opartem jest na ścisłych danych naukowych; do przezwyciężenia licznych trudności trzeba było szukać środków zaradczych w zasadach najróżnorodniejszych nauk.

Przede wszystkiem trzeba było znaleźć materyą nieprzepuszczającą gazu. Zwykłe balony wypróżniane są w ciągu dni kilku, co gdyby miało miejsce w obecnym razie, gdyby przyszło co dni kilka napełniać nowym gazem balon, to z powodu zbyt wielkich kosztów przedsiębierstwo tego rodzaju byłoby niemożliwem. Materyał z natury rzeczy powinien był być lekkim a jednak dostatecznie silnym, aby niepogoda nie wywierała na niego wielkiego wpływu. Dla wytworzenia sztucznej skóry balonu, pan Giffard zrobił następującą kombinacyą: 1) muślin 2) warstwa kauczuku 3) płótno lniane 4) warstwa kauczuku 5) płótno lniane 6) warstwa kauczuku 7) muślin przesiąkły tłuszczczem. Całość ma nadany kolor biały jako najmniej absorbujący cieplik. Nadto powierzchnia balonu zabezpieczoną jest przez siatkę wytworzoną ze sznurów mających jedenaście milimetrów średnicy. Ze sznurów tak grubych nie można było robić siatki za pośrednictwem węzłów, byłyby one wielkości kurzego jaja, a tem samem mogłyby z łatwością uszkodzić a nawet przedziurawić balon; z tej przyczyny sznury na swem zetknięciu spajane są za pośrednictwem skórzanych oczek. Wytworzona tym sposobem siatka, po obwinięciu balonu przywiązaną jest następnie silnie do koła metalowego, zdolnego stawić opór ciężarowi wynoszącemu sto tysięcy kilogramów. Koło to połączone jest z innem kołem położonem niżej, do którego przywiązane są sznury łączące z balonem łódkę, przeznaczoną dla zwolenników nadpowietrznych podróży.

Łódka podobną jest do zwykłego balkonu, okrągłego, mającego ośmnaście metrów obwodu, sześć metrów średnicy, a jeden metr właściwej sobie szerokości. Urządzoną jest o podwójnem dnie, gdzie złożone są wszystkie przedmiory zabierane przy zwykłych podróżach balonem. Ostrożność ta zachowywaną jest na wypadek, gdyby balon zerwał krępującą go linę i chciał ulecieć w odleglejsze strony.

Lina przytrzymująca statek powietrzny ma ogólny kształt skośny, na jednym bowiem końcu ma 65 milimetrów średnicy, a na drugim 85; miała ona początkowo 600 metrów długości, ale w skutek robionych prób przedłużoną została o 60 metrów. Dla jej zerwania potrzebaby siły równającej się ciężarowi dwudziestu pięciu tysięcy kilogramów, to jest oporu cztery razy większego aniżeli ten który zwalcza lina w zwykłych warunkach.

Tak do zwijania jakoteż do odwijania liny, czyli tak do puszczania balonu w górę jako też do ściągania go na ziemię, posługuje maszyna parowa urządzona nadzwyczajnie dowcipnie, bo zmniejsza stopniowo szybkość posuwania się balonu w górę, i zatrzymuje takowy bez najmniejszego wstrząśnienia. Działalność ta uskuteczniana jest za pośrednictwem ścieśnionego powietrza, oddziaływającego na szybkość obrotu wału na którym obwiniętą jest lina.

Skoro oznaczona liczba osób napełni łódkę, kierujący balonem pan Eugeniusz Godard woła: *complet*; słychać świst maszyny, a jednocześnie lina poczyna szybko przedłużać się.

Skoro powietrze jest zupełnie spokojne, to ruch balonu przywiązanego nie różni się niczem od ruchu balonów swobodnych; postęp to wielki w stosunku do balonu z r. 1867 w którym targanie liny w sposób przerywany dawało się uczuwać co chwila.

Obecnie pomimo nadzwyczaj szybkiego biegu nie czuć najmniejszego wstrząśnienia, jakby lina była zerwaną i balon szedł w górę bez krępujących go więzów. W ciągu kilku minut dochodzi do miejsca swego przeznaczenia, a z każdą prawie sekundą powierzchnia ziemi przybiera odmienną postać. Nie jest to jednak wrażenie podróżnego wdzierającego się zwolna na szczyt góry; tutaj wzniesienie się jest nagłe i oko nie ma na około siebie wierzchołków innych gór, służących do porównawczego ocenienia przebieżonej wysokości. Przed oczami rozpostarta przepaść a całą podporę stanowi kilka desek chwiejącej się łódki balonowej. Umysł nasz odbiera wrażenie silne i niezatarte.

Po puszczeniu wolno balonu doznajemy złudzenia wzroku; statek powietrzny wydaje się nam nieruchomym, a tylko ziemia zapada się coraz bardziej w jakąś przepaść niezmierzoną. Pojawy rozpostartego obrazu można jeszcze określić w inny sposób: oto brzegi horyzontu wznoszą się ku górze a jego środek ulega coraz większemu wklęśnięciu. Balon zawieszonym jest nad głębią powietrzną jak statek wodny nad głębią oceanu. Nie doznajemy najmniejszego zawrotu głowy, jak to sądzi błędnie wiele osób; balon zdaje się przykutym do jednego i tego samego miejsca; ziemia wprawdzie gdzieś ucieka ale nie czujemy żalu z tej przyczyny; nie wątpimy bowiem ani na chwilę o naszym powrocie.

Nareszcie ziemia zdaje się zatrzymaną być w swym biegu, jako skała oberwana dobiegająca dna przepaści; lina nie ulega dalszemu przedłużaniu, balon więc zatrzymany na miejscu chwieje się i buja w powietrzu. Patrząc ze szczytu wzniesienia, dostrzegamy widok podobny do obrazu przedstawionego przez odwrotną zmniejszającą stronę perspektywy. Największe budynki wyglądają jak zabawki dziecinne. Sekwana posiada szerokość małego palca u ręki, a mosty są zwykłemi kładkami położonemi na drobnym strumyku ogrodowym. W razie odpowiedniego położenia słońca, jesteśmy świadkami prawdziwego igrzyska cieni dających obrazy niekiedy bardzo zabawne.

Nareszcie aeronauta porusza chorągwią trzymaną w ręku, to jest dany znak do powrotu: czujemy leciutkie szarpnięcie i zmianę kierunku; ziemia idzie w górę; przedmioty zaczynają się powiększać. a cienie zmniejszać, to jest wracamy zwolna ze złudzenia do rzeczywistości.

Osoby nawet bardzo wrażliwe płyną w górę z balonem bez żadnej przykrości; co najwyżej doznają pewnego szumu w uszach połączonego ze dzwonieniem.

Skoro powietrze zostaje w pewnym ruchu, w takim razie balon jest pochylonym i lina w zetknięciu z ziemią nie ma już kierunku prostopadłego, ale przeciwnie tworzy z jednej strony kąt rozwarty a z drugiej ostry. Siła unosząca balon w połączeniu z siłą wiatru oddziałuje na linę; skoro siła parcia wynosi sześć tysięcy kilogramów natychmiast jest dawanym znak powrotu; niespodziany bowiem powiew wiatru może łatwo zdwoić siłę parcia, a jakkolwiek lina wytrzyma siłę równającą się ciężarowi dwudziestu pięciu tysięcy kilogramów, ostrożność jednak radzi uniknąć najmniejszego cienia niebezpieczeństwa.

Nie byłoby jednak nic zbytnie zastraszającego gdyby nawet lina była zerwaną, ponieważ balon posiada wszystkie przyrządy potrzebne do najdłuższej nawet podróży, jakoteż do wylądowania choćby najtrudniejszego. Bezwątpienia, siła unosząca w górę jest wielką, w kilku minutach balon mógłby dosięgnąć sfery w której oddychanie dla ludzi jest niepodobne, a tem samem uduszenie niezawodne; dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu, urządzoną została na górze klapa bezpieczeństwa, którą dosyć otworzyć aby spowodować ubytek gazu przeszkadzający zbytniemu wzniesieniu balonu.

Na wypadek gdyby nawet aeronauta nie przedsięwziął środków zaradczych, pomieszczoną została druga klapa na dole otwierająca się sama, gdy powietrze zbyt rzadkie nie ma już siły do trzymania jej w zamknięciu. Otwarcie jej samodzielne niejako, następuje na wysokości 2,500 metrów, gdzie jeszcze z całą swobodą oddychać można.

Tegoroczna wystawa powszechna jest nietylko obrazem kuli ziemskiej pod względem materjalnym, ale nadto uwydatnia wiele kwestyi społecznych, dotychczas nieroztrzygniętych w sposób stanowczy. Do liczby takowych należy niezawodnie stosunek narodów ucywilizowanych do tak nazwanych ludów dzikich, będących prawdopobnie szczątkami pierwotnego stanu ludzkości. Amerykanie dążą do wytępienia tych nieszczęsnych pokoleń, używając z najzimniejszą krwią ognia i miecza: Anglicy przybrali odmienną zupełnie postawę; usiłują zawsze i wszędzie zachowywać jak największą sprawiedliwość, rozciągając nad temi wydziedziczonemi biedakami ojcowską prawdziwie opiekę. Francuzi jako naród nader wrażliwy stosujący swoje postępowanie do chwilowych porywów serca, tak jak w wielu innych sprawach politycznych tak i w tej, przechodzą z łatwością do różnych ostateczności. Z usposobienia szlachetni, patrzą z przykrością na wszelką krzywdę wyrządzaną drugim, i radziby uszczęśliwić najdziksze newet pokolenia australskie. Niech jednak zajdzie najmniejszy wypadek nieprzyjazny; niech jeden Francuz zabitym będzie w osadach; natychmiast wydają okrzyk zgrozy, a dzienniki jako wyraz opinii publicznej, domagają się jednozgodnie: aby dzikie pokolenia jako niższe jeszcze od zwierząt, wytępione były ogniem i mieczem. O ile jednak Francya polityczna jest chwiejną w swoich wyobrażeniach o tyle Francya naukowa jest wyższą od chwilowych okoliczności, objawiając zawsze głęboki pogląd i beztronność wolną od wrażeń przemijających namiętności.

Wiadomym jest nieszczęsny wypadek morderstwa popełnionego na kilkunastu Francuzach w Nowej Kaledonii. Dzienniki nawet najpoważniejsze jak *Republique Francaise*, napisały wyrok śmierci na wszystkich Nowo—kaledończyków bez wyjątku.

Zgroza publiczna nie pozwoliła wymówić jednego słówka obrony, chociaż może spełnione zabójstwo było tylko słabym odwetem za krzywdy doznane. Nauka jednak pozostała nieugiętą na właściwem sobie stanowisku prawdy, i ogłaszając badania etnograficzne dotyczące tego ludu, nie schlebiała opinii publicznej potwierdzając jej wyrok wytępienia, ale przeciwnie stanęła w obronie Australczyków w sposób najskuteczniejszy, bo ukazujący pewne ślady cywilizacyi u ludzi, których polityka dzienna stawia niżej zwierząt.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

1) Źródła dziejowe tom X (Warszawa 1878). 2) Historya literatury polskiej L. Sowińskiego 5 tomów (Wil-

no 1874—1878). 3) Nowe opowiadania historyczne dra A. J. wydanie drugie (Lwów 1878). 4) Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich przez W. Smoleńskiego (Warszawa 1878). 5) O zdwojeniu (sic) samowiedzy przez J. Ochorowicza (Lwów 1878). 6) O powstawaniu praw moralnych przez A. Świętochowskiego (Warszawa 1878). 7) Chełmianie, opowiadania z lat 1792—1796 przez Kajetana Kraszewskiego (Warszawa 1878).

Zamierzamy dziś podzielić się z czytelnikami wrażeniem z kilku dzieł nowych rozmaitej wartości, z pomiędzy ogłoszonych drukiem od czasu ostatnich naszych sprawozdań.

Na czele musimy zapisać dalszy ciąg najpoważniejszego dziś u nas i cennego wydawnictwa „Źródeł Dziejowych“ a mianowicie tom X p. n. „Sprawy Wołoskie za Jagiellonów.“ Akta i listy, wydał i szkicem historycznym poprzedził A. Jabłonowski“ (Warszawa 1878). Zawierają się tu rozmaite akta, relacye i przywileje tyczące się stosunków Rzeczypospolitej z Wołoszczyzną od Jagiełły aż do Zygmunta Augusta. Oprócz układów politycznych, aktów poselskich i dyplomatycznych, są tu także dokumenta tyczące się stosunków handlowych i stanu ekonomicznego hospodarstwa wołoskiego i ościennych ziem ruskich. Wydawca wziął te materyały po części z odpisów Metryk Koronnej i Litewskiej (dawnych archiwów państwowych polskich, znajdujących się obecnie w Moskwie i w Petersburgu), po części zaś z drukowanych już zbiorów Rzyszczewskiego i z Tomicyanów i z wydań pomniejszych; ułożone są po większej części w urzędowym ówczesnym języku litewsko-ruskim; niektóre tylko są pisane po łacinie. Najdawniejszym ze wszystkich, a zarazem najciekawszym, bo dotychczas nieznanym jest przywilej Władysława księcia opolskiego, z ramienia króla Ludwika wielkorządcy Rusi, nadający dobra w Samborskiem niejakiemu Dzurdzemu (Jerzemu) wojewodzie wołoskiemu w 1377 r. Dokument ten pochodzi z akt trybunału lubelskiego, do których został wciągnięty w XVI w. W obszernym wstępie historycznym, w którym autor streszcza cały materyał dziejowy w umieszczonych poniżej dokumentach zawarty, mamy nietylko wyczerpujący obraz stosunków Wołoszczyzny z Polską za Jagiellonów, ale zupełną niemal historyą kraju wołoskiego od pierwszych jego początków aż do epoki ustania jego stosunków z Rzecząpospolitą. Rzecz cała opracowana gruntownie i krytycznie, po raz pierwszy w naszym języku, gdyż nie mówiąc już o słabem dziele Rogalskiego „Dzieje księztw naddunajskich,“ nawet tacy historycy, jak Szajnocha i Bartoszewicz, często błądzili w tem co mówią o Wołoszczyźnie; usterki tych pisarzy autor po części prostuje i na mocy przytaczanych źródeł wyjaśnia. Słusznie podnosi autor tę okoliczność, że Wołoszczyzna (teraźniejsza Mołdawia) stanowiła geograficznie jedną całość z Ziemiami kresowemi Rzeczypospolitej nad Dniestrem i że dochodząc do morza Czarnego, do wygodnych portów Kilii i Białogrodu dawała państwu Jagiellonów punkt oparcia nad morzem, czego Rzeczpospolita bardzo potrzebowała i czego jej brakowało, gdyż wczesne (już na początku wieku XVII) odcięcie jej od obu mórz — Baltyckiego i Czarnego — było wielką klęską i początkiem upadku, a niezdolność utrzymania się na brzegach morskich i zaniedbanie tej kwestyi żywotnej należy uważać za zgubne nie do darowania błędy rządów Jagiellońskich i późniejszych szlacheckich. Wołoszczyzna, począwszy od epoki Kazimierza W. który zająwszy Ruś Czerwoną zetknął się pierwszy z krainą zadniestrzańską, przez 200 z górą lat garnęła się stale pod skrzydła Rzeczypospolitej i jej hospodarowie składali królom hołd wierności, ale trudno im było utrzymać swoją niezależność, zostając pod naciskiem sąsiednich Węgier, a szczególniej wzmagającej się potęgi tureckiej. Zdarzało się nieraz i Polsce walczyć z Wołoszą, głównie przy ambitnych hospodarach, którzy od nikogo zależeć nie chcieli i pragnęli wybić się z pod przewagi mocarstw sąsiednich, ale sił po temu nie mieli; po części zaś owe walki były wypływem polityki, intryg i pobudzań sąsiadów, Rzeczypospolitej nieprzyjaznych — Węgrów, Rakuszan, Tatarów i Turków. Miękka, jak ją autor słusznie nazywa, polityka Jagiellonów, zwykle zadawalniała się poskromieniem Wołoszy, a przyjaznych sobie hospodarów nie popierała należycie; owszem przyczyniła się niejako do wydania Wołoszczyzny w ręce Turków, uznawszy bardzo prędko i bez sporu prawo sułtanów do mianowania hospodarów, wstawiając się i prosząc w Stambule za hospodarami, chociaż Rzeczpospolita sama, na mocy prawa dawniejszego, mogła i powinna była kierować Wołoszczyzną. Wzmagająca się niedbałość zerwała całkiem węzły, łączące ten kraj z Polską: jeszcze w rok po unii lubelskiej Bohdan, hospodar wołoski, wykonał hołd Zygmuntowi Augustowi, ale był to już ostatni wypadek tego rodzaju. Rzeczpospolita wypuściła z rąk drogę do morza Czarnego, pozwoliła ażeby ją Turcy od niego odcięli i pozostawiła własnemu, na długo smutnemu losowi pod jarzmem nadsyłanych ze Stambułu hospodarów Greckich, bitny ten kraik, który tak długo opierał się muzułmanom, a i w dziejach polskich pozostawił smutną pamięć bukowińskiej klęski Olbrachta.

Opuszczenie to spraw wołoskich było zapowiedzią mającej wkrótce nastąpić utraty bliższych ziem ukrainnych i podolskich i szerzenia się panowania Turków i Tatarów kosztem Rzeczypospolitej; dziwnem nadto zrządzeniem losu, zaniedbanie brzegów czarnomorskich na krótko tylko poprzedziło ostatnie bohaterskie usiłowania króla Stefana w celu zachowania panowania nad Baltykiem i ostateczną zatem utratę wybrzeży baltyckich. Nadto, rozwielmożnienie się przewagi tureckiej nad Dniestrem było bezpośrednią przyczyną utworzenia się kozaczyzny ze wszystkiemi zgubnemi dla Rzeczypospolitej następstwami tego wypadku. Wypuściwszy z rąk Wołoszczyznę; Jagiellonowie wypuścili zarazem z rąk możność zupełnego zesłowiańszczenia tej krainy, gdyż początki wpływów słowiańskich istniały tam dawno, z czasów jeszcze panowania Bulgarów: wiadomo że w cerkwi wołoskiej panował długo język starosłowiański czyli bulgarski, że w klasie bojarów, która sama ukształtowała się pod wpływem bulgarskim, szerzyło się używanie języka słowiańskiego, który nietylko że był w Wołoszczyźnie urzędowym, ale dał nawet swój alfabet językowi rumuńskiemu; dopiero w naszych czasach Rumuni zarzucili kirylicę, przyjąwszy natomiast alfabet łaciński, a język krajowy wprowadzono w kościele wołoskim od wieku XVII. Nie znaczy to, abyśmy żałowali, że Jagiellonowie nie wytępili narodowości wołoskiej, ale wypada żałować że nie utrwalili tam żywiołu słowiańskiego wpływem cywilizacyjnym, jak gdzieindziej, co może sprowadziłoby zetknięcie interesów Rzeczypospolitej z interesami Słowian tureckich. W pięknej swej pracy autor tłomaczy też nazwy geograficzne: nazwa Multany ma pochodzić od łacińskiego montanus (górski), Besarabia zaś jakoby od wyrazów słowiańskich „boży rab (sługa)“ używanych przez hospodarów wołoskich; to ostatnie jest nieco wątpliwe.

Co się tyczy nazwy Wołoch, Włach, (w gruncie to samo co Włoch) jest to poprostu wyraz *przedrzeźniający* dziwną dla Słowian i niezrozumiałą mowę ludów romańskich, tak samo jak *barbaros* był to u Greków wyraz przedrzeźniający dziką dla nich mowę wszystkich, którzy Grekami nie byli.

Nakoniec wypada nam jeszcze wspomnieć, że autor zupełnie słusznie wywodzi i przedstawia, iż przodkowie nasi *Wołoszczyzną* nazywali *zawsze tylko* tę część dzisiejszej Rumunii, która graniczyła z dawną Polską, a więc bliższą, dziś nazywaną *Mołdawią;* dalszą zaś, podkarpacką, która graniczy z Siedmiogrodem, po polsku nazywano zawsze *Multanami;* dziś nazywają ją *Wałachią*. Ta ostatnia Wałachia czyli Multany, stanowiąca dawniej odrębne hospodarstwo, rzadko miewała z Polską stosunki i mało o niej wzmianek w naszych dziejach. A więc, powtarzamy raz jeszcze, dzisiejszą Mołdawią trzeba nazywać po polsku Wołoszczyzną, a dzisiejszą Wałachią trzeba nazywać Multanami; dzisiejsi zaś pisarze, a zwłaszcza mało obeznani z historyą gazeciarze, wytrwale i uporczywie, a z dziejowego i lingwistycznego punktu widzenia fałszywie, Mołdawią nazywają Multanami, a Wałachią — Wołoszczyzną. Przyczyną tego pomieszania jest pomieszanie owych nazw w językach zachodnich; u nas także, jak wykazuje p. Jabłonowski, znajdujemy ten sam błąd nawet u Szajnochy i Lelewela, ale kronikarze i pisarze XVI wieku, którzy tu stanowią największą powagę, nigdy nie popełniają tego błędu. Piszący te słowa wytykał już ten błąd przed parą lat w jednej z gazet, ale bezskutecznie. Zamykając sprawozdanie o X tomie Źródeł Dziejowych, musimy jeszcze wyrazić żal, że styl p. Jabłonowskiego w jego cennej przedmowie pozostawia czasem dużo do życzenia; trafiają się niekiedy nawet błędy językowe jak np. „obce narody *byli się poddali*“ (str. VII), „przeciw *dwóch głównych zastępów*“ (str. CLI).

(*d. c. n.*)

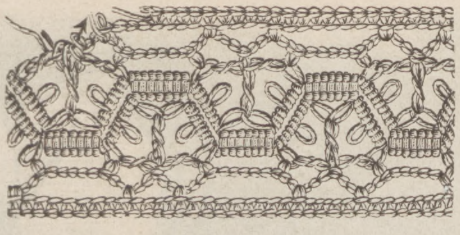
Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 44.

(Ko-ło-wro-tek).

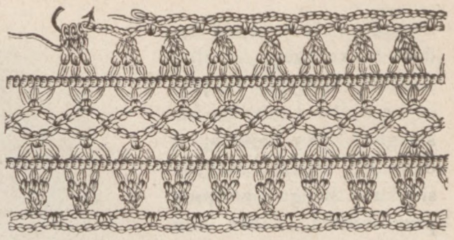
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 24 Октября 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.



N. 1. Wszywka szydełkowa z ażurową mignardisą.



N. 2. Wszywka szydełkowa z mignardisą.

Opis do N. 44.

(*Dokończenie*).

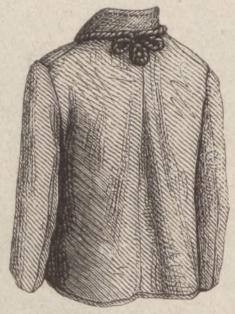
Przyszycie jej do pleców przykrywa przepięcie fałdowane, 4 cent. szerokie, w środku w węzeł przełożone. W mankiety wstawia się część fałdowaną, w środku przestębnowaną, mającą 10 cent. długości a 7 szerokości. Tak sukienka (oprócz tylnej części fałdowanej) jak i kaftanik robi się na podszewce; w kołnierz podwójny daje się sztywny muślin w środek. Przody kaftaniczka zapinają się na haftki przyszyte od spodu, pod kołnierz przyszywa się szarfy z tej co wypustki materyi, mające 4 c. szerokości a 10 długości, które wiąże się na kokardę.

N. 39. Dywanik do zabaw dziecinnych. Haft krzyżowy i aplikacya. Desenie na dodatku Fig. 61—68.

Środek dywanika może być z angory białej lub kolorowej flanelki albo sukna; tło szlaku daje się w jakim żywym kolorze. Arabeski robi się włóczką kolorową, ściegiem krzyżowym, a różne figury zabawek, zwierząt, kwiatów lub owoców wycina się z różno kolorowego sukna i przydzierguje albo przyrabia ściegiem sznureczkowym. Kilka wzorów podajemy na Fig. 61—68. Cały dywanik podszywa się grubą, ciepłą białą flanelą, która cokolwiek wystaje z brzegów.



N. 3. Kamizelka szydełkowa dla dziewczynki. Patrz r. 4—5. Krój na arkuszu N. V. Fig. 30.



N. 6. Kurtka sukienua. Patrz. ryc. 7.

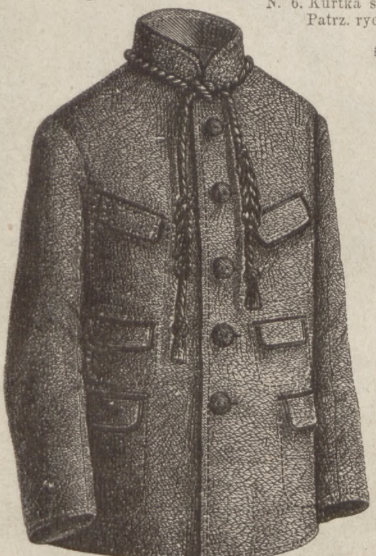


N. 8—9. Czapka z karczkiem i kamasz skórzany.

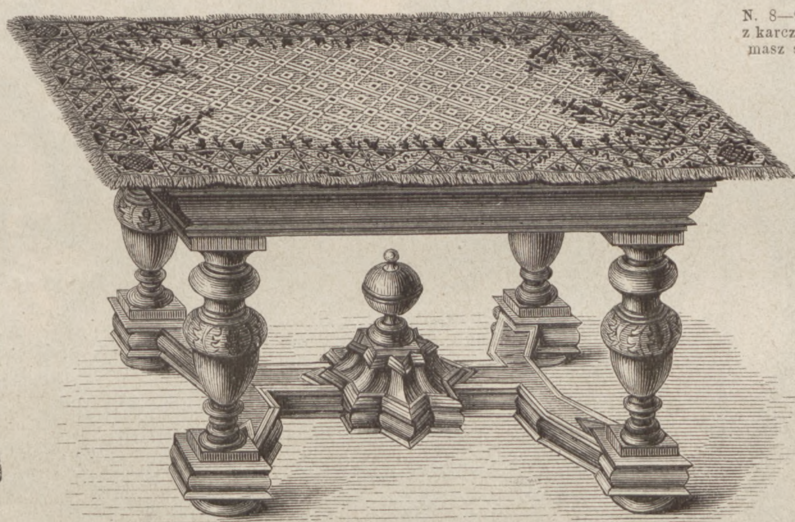
Opis do N. 45.

N. 1—2. Wstawki szydełkowe z mignardise.

N. 3—5. Szydełkowa kamizelka dla małej panienki. Krój N. V Fig. 30.



N. 7. Kurtka z grubego kortu. Patrz r. 6. Krój na arkuszu N. X. Fig. 49—55 a.



N. 11. Serweta z wyszyciem krzyżykowem. Patrz r. 12.

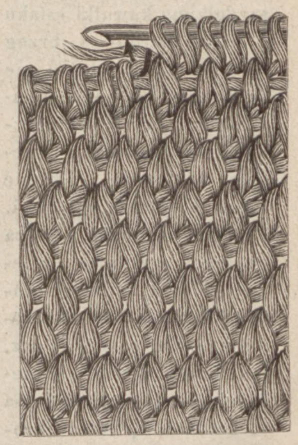


N. 10. Kurtka myśliwska skórzana. Patrz krój ryc. 7.

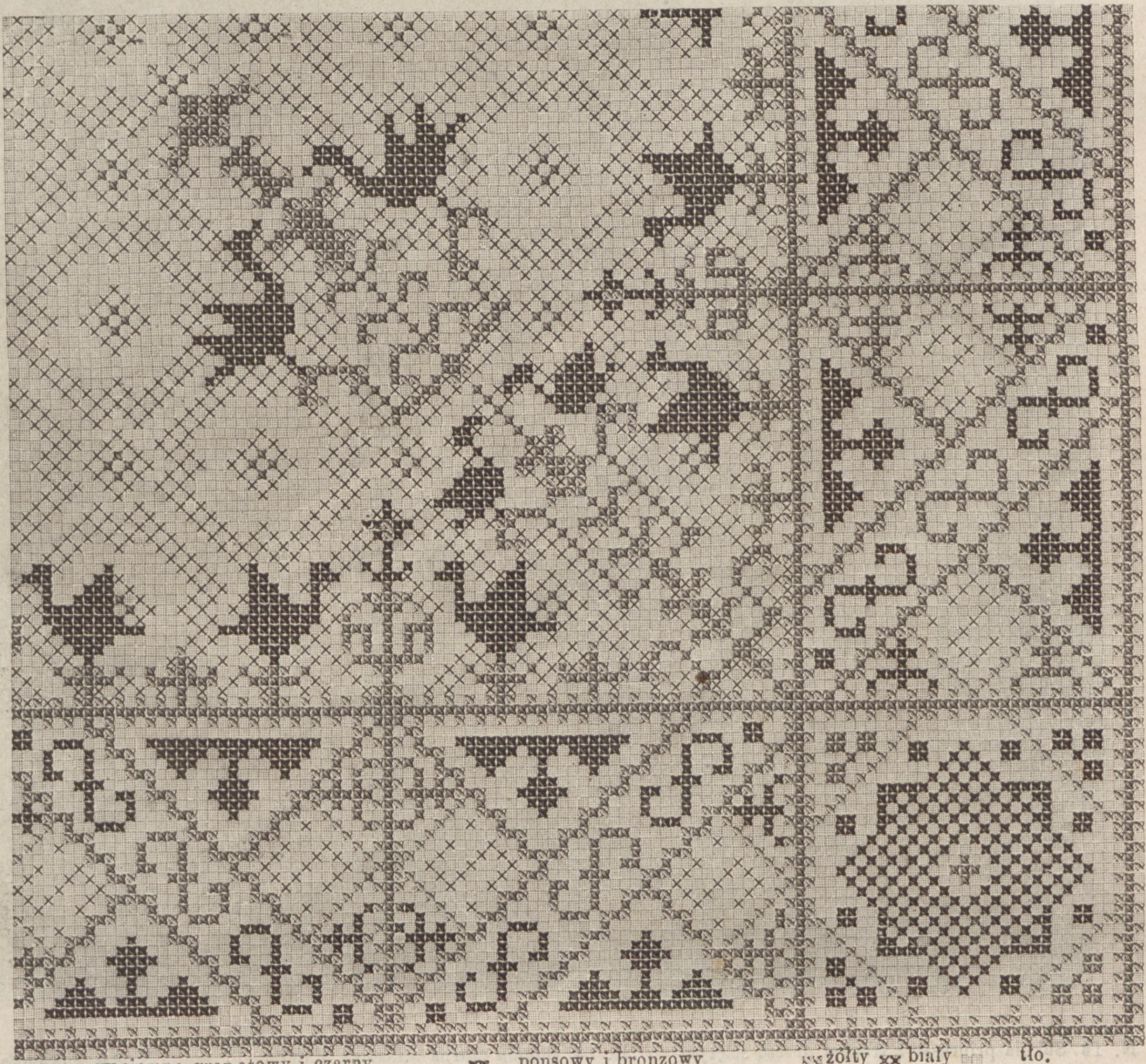
Na ryc. 5 podajemy próbkę nowego tunetańskiego ściegu, którym robiony był model kamizelki chusteczkowej. Robotę zaczyna się od dołu jednym rzędem zwykłego ściegu tunetańskiego; w rzędzie drugim bierze się 1 o. w oczko rzędu łańcuszkowego, (jak to strzałka wskazuje) drugie w ocz. poprzedzającego rzędu, w następnych rzędach razem przez dwa o. Przy przerabianiu łańcuszkiem, dwa o. zrabia się razem, w sposób na ryc. 5 wskazany; gubienie i przerabianie pasować trzeba podług formy wyciętej



N. 4. Szlak szydełkowy do ryc. 3.



N. 5. Tło szydełkowo do ryc. 3.



ciemno granatowy i czarny ponsowy i bronzowy żółty biały tło.

N. 12. Deseń na ścieg krzyżykowy do ryc. 11.

z papieru. Gdy przód będzie wykończony podług Fig 30, zaczyna się plecy na o. 16 i obrabia raz ściegiem zwyczajnym; w drugim rzędzie zaczyna się deseń ściegu i zarazem przybieranie, które tem różni się od przybierania zwykłego, że na początku rzędu przybiera się mniej o. niż na końcu, bo rodzaj ściegu jest taki, że robota przy prawym brzegu sama się przez się rozszerza a przy lewym zwęża, to też stosunek przybierania ma być jak 1—3. Przy brzegu od prawej ręki przybiera się po o. pierwszem, a przy brzegu lewym dodaje nowe po o. ostatniem i takowe przerabia się oddzielnie. Gubiąc zrabia się razem o. jak zwykle, lecz tu znowu od prawego brzegu więcej gubić trzeba niż od lewego. Na proste brzegi przodów trzeba idąc od prawej ręki do lewej, co drugie obrobienie, przed ostatniem o. 1-no przybrać, a przerabiając łańcuszkiem końcowe o. co drugie obrobienie zgubić. Wykończone części obrabia się łańcuszkiem i spaja na ramionach, a następnie z ciemniejszej włóczki robi się oddzielnie w poprzek na o. 6, szlaczek podany na ryc. 4*. Obrobić dwa razy zwykłym ściegiem tunetańskim, w trzech następujących rzędach przy przerabianiu łańcuszkiem, dodawać muszki złożone z *4-ech* o. powietrznych, przyrobionych w rzędzie *3-cim* i *5-ym* nad o. 1-szem, 3-ciem i 5-tem a w rzędzie *4 tym* nad 2-giem i 4-tem. Powtarzać od gwiazdki. Ażeby nie marszczyć szlaku w rogach dolnych pleców i przodów trzeba robić go w oddzielnych kawałkach wymierzonej długości i na zakończenie w 5-ciu ostatnich rzędach wygubiać stopniowo do 1 o., a na stępujący kawałek zacząć od jednego, a przybrać w 5-ciu początkowych rzędach do o. sześciu. Następnie zeszyć lub złączyć szydełkiem kawałki szlaku z lewej strony i brzeg wewnętrzny przyszyć nieznacznym ściegiem na kamizelce a brzeg zewnętrzny ułożony równo z brzegem kamizelki, obrobić razem z takową ząbkami. Przody zapinają się na guziczki przyszyte do lewej połowy, a brzeg prawej, obrabia się naprzemian 5-ciu ścisłemi ocz. łań branemi w 5 o. brzeżnych i 4 o. pow. nad 2-a o. brzeżnemi, które obrobić następnie dwoma rzędami o. ścisłych. Dla przytrzymania kamizelkowej chusteczki w pasie, robi się oddzielnie pasek 52 cent. długi a 4 cent, szeroki, takim ściegiem jak tło, któren od X do Y i od Z do kropki przyszywa się od spodu do kamizelki, a z przodu zapina na guziki. Ażeby robota szła prosto, trzeba co drugie obrobienie 1 o. na początku opuszczać a na końcu co drugie obrobienie 1 o. przybierać.



N. 13. Suknia princesse z trenem prosto ściętym Patrz r. 18. Krój na arkuszu N. I. Fig. 1—11 a.

N. 14. Suknia czarna atłasowa. Patrz r. 17.
N. 15. Suknia z vêtement z jedwabnej grenadyny.

N. 16. Sukienka dla dziewczynki.

N. 17. Suknia czarna atłasowa z koronkową chustką. Patrz ryc. 14.

N. 18. Suknia princessè z trenem ściętym prosto. Patrz ryc. 13

N. 19. Suknia z tuniką i wyciętym stanikiem. Krój tuniki na dodatku N. XII. Fig. 59.

N. 20. Suknia wieczorowa nie sięgająca do ziemi.

N. 21. Suknia biała muślinowa.

N. 6—10. Ubranie myśliwskie.

N. 6—7. Kurtka myśliwska z grubego kortu. Krój N. X Fig. 49—55 a.

Kurtka przedstawiona z tyłu i z przodu na ryc. 6 i 7, odrobiona była z kortu grubego ciemno bronzowego, a kołnierz i wypustki przy licznych kieszeniach, był z sukna zielonego. Do zapięcia duże guziki rogowe, a koło kołnierza opasany gruby sznur zielony z tyłu naszyty był na plecach w arabeskę, a z przodu zawiązany na luźny węzeł, pod którym kołnierz zapina się na haftki. Kieszenie naszywa się od spodu, nie przejmując ściegów do wierzchu, przecięcia u dołu obszywa się zieloną wypustką a w górze przyszywa się patki.

N. 8—9. Czapka z karczkiem zasłaniającym szyję i kamasz skórzany.

W N. 1 z roku bieżącego podaliśmy formę i opis czapki myśliwskiej z karczkiem zasłaniającym szyję od wiatru i mrozu. Model do ryc. 8 odrobiony był podług powyższej formy z sukna ciemno bronzowego, a daszek i rzemienie do zapięcia pod brodę były ze skóry bronzowej.

Na ryc. 9 podajemy bardzo praktyczny model kamasza skórzanego.

N. 10. Kurtka myśliwska skórzana. Krój podług ryc. 7.

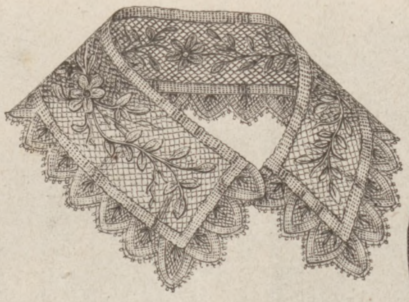
Kurtkę z miękkiej, czarnej skóry, podszytą ponsową flanelą, kraje się podług formy do ryc. 7, tylko trochę obciślej w przodach, a z tyłu bez fałdy w plecach. Ozdobę kurtki zapinanej na dwa rzędy guzików stanowią stębnówki białe; plecy przy wcięciu stanu zapięte są na patki z guzikami.

N, 11—12. Serwetka do pokrycia stołu, ozdobiona haftem krzyżowym.

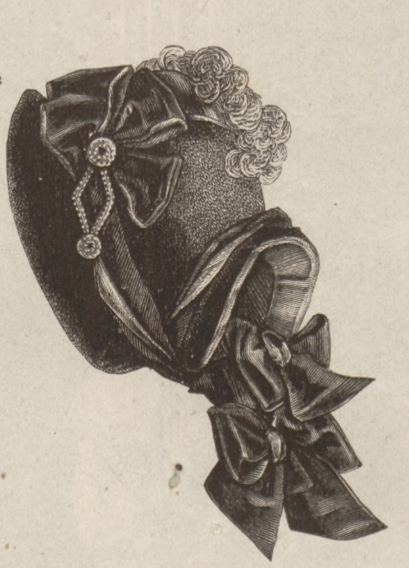
Serweta robiona na popielatej kanwie j a w a, przykrywa tylko blat pięknego stołu, bogato ozdobionego robotą snycerską. Tło serwety wyszyte jest w skośną kratę bawełną białą, z dodaniem pojedynczych ściegów ponsowych. Szlak zaś wybitnie odróżniający się od tła wyszywa się włóczką czar-

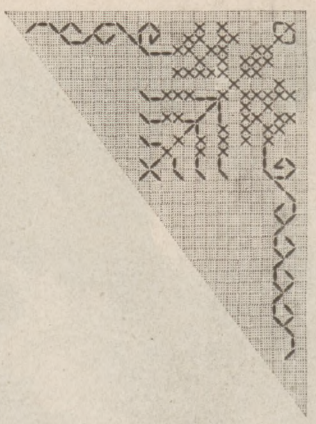


N. 22. Narożnik do kołnierzyka.



N. 24. Kołnierz wykładany dla osoby starszej. Deseń Fig. 31 w dodatku.





N. 23. Narożnik do kołnierzyka.



N. 25. Kapelusz filcowy z podpięciem. Patrz ryc. 11 w N. 44.

ną, szafirową, pomarańczową i bronzową stanowiącą cień od ponsowej. Na deseniu kolor czarny i szafirowy, ponsowy i bronzowy jednakowo są oznaczone, w robocie jednak gwiazdy w narożnikach i do ptaków podobne figury powinny być całe czarne, a krzyże pomiędzy niemi szafirowe. Dolne w zębach szlaku figury są czarne, górne szafirowe; esy dolne szafirowe, górne czarne. Środkowe krzyżyki w kwadracikach tła są ponsowe, a tym samym kolorem odznaczone figury szlaku bronzowe. Frendzlę siepie się w kanwie.



no- szonego na ręku. Krój na arkuszu. N. XI Fig. 56—68.

N. 13 i 18. Princesse z draperyą i trenem ściętym u dołu w kąt prosty. Krój N. I Fig. 1—11 a. Rękawy na ryc. 12 i 13 w N. 44.

Do sukien strojnych, zwłaszcza z ciężkich materyi jedwabnych lub aksamitu, żaden fason nie jest równie odpowiedni jak forma princesse, która też ciągle przed innemi ma pierwszeństwo.



N. 27. Ubranie dla chłopca lat 2—4. Patrz ryc. 34—38 w N. 44. Krój w dodatku N. IV Fig. 19—29.

N. 26. Kapelusz filcowy formą kapotki.

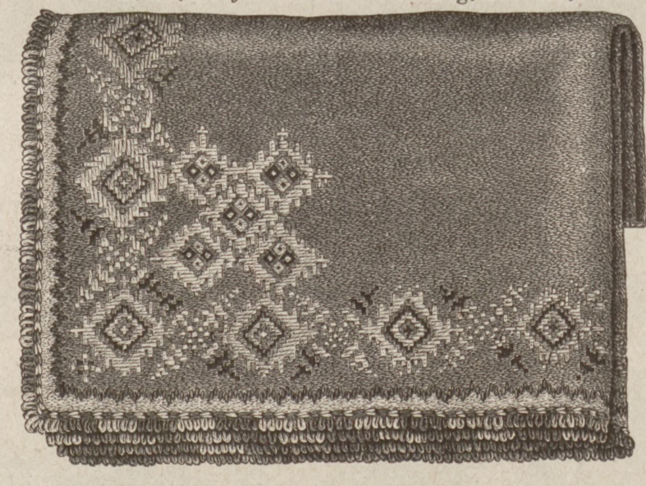
Oprócz plisowania które może być z jednego albo z obydwóch materyałów potrzeba do garnirunku 6 cent szerokiej koronki białej lub czarnej, obwodzonej jedwabiem do cieniu, odpowiedniego sukni koloru, wstążki w atłasie na dwie strony 2 1/2 i 6 cent. szerokiej i guzików z konchy perłowej nabijanych stalą.

(*dok. nast*).

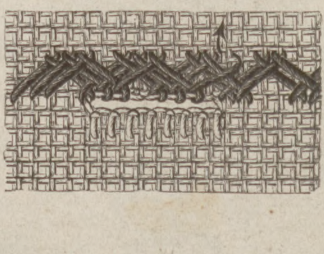
Na ryc. 13 i 18, podajemy z tyłu i z przodu dwie takie suknie z odmiennego materyału i z odmiennym przystrojeniem. Ryc. 13 przedstawia suknię z gładkiej jasnej materyi i z adamaszku, a ryc. 18 suknię z ciemnego atłasu i faille.



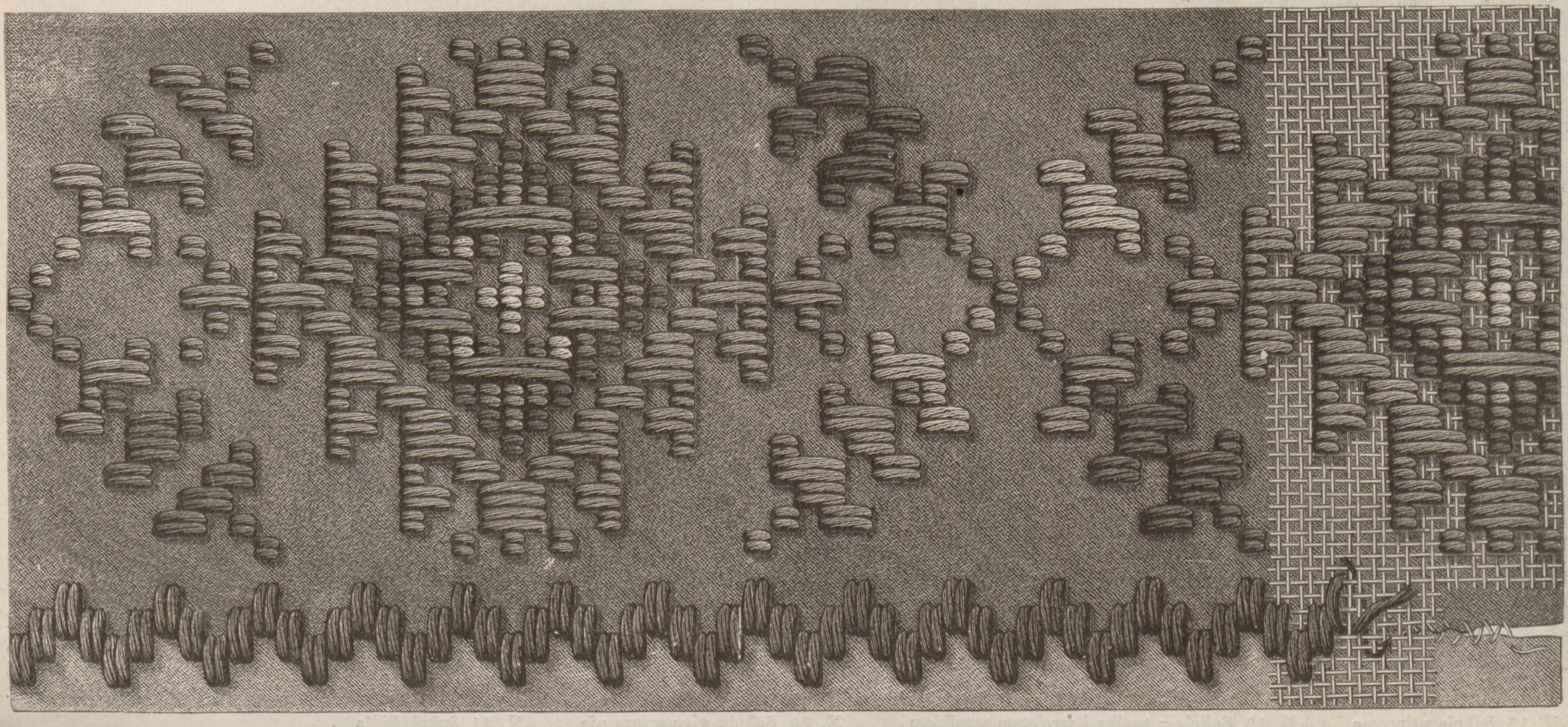
N. 28. Kamizelka męzka wyszywana na kanwie.



N. 31. Serweta flanelowa. Patrz ryc. 32.



N. 30. Obrobienie dziurki w kamizelce ryc. 29.



N. 32. Szlak haftem gobelinowem do serwety ryc. 31. Deseń patrz Fig. 69 w dodatku.